Świat Kobiecy

ROK XI — 15 STYCZNIA 1931 R. — N-R 2



VI. ALMANACH
„ŚWIATA KOBIECEGO"

UKAŻE SIĘ W PIERWSZEJ POŁOWIE LUTEGO 1931 R.

I BĘDZIE ROZSYŁANY JAKO PREMJA TYM P. T. PRENUMERATORKOM, KTÓRE UISZCZĄ ZGÓRY PÓŁROCZNĄ PRENUMERATĘ W KWOCIE ZŁ 20·— (EW. W DWU RATACH)

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA — N-R 2 — ROK XI — WARSZAWA — LWÓW — 15 STYCZNIA 1931 ROKU

LYNX: Babskie docinki. — KAZIMIERZ BROŃCZYK: Fałsze spojrzenia. — KAZIMIERA ALBERTI: Na mojem biurku. — IRENA KRZYWICKA: Miesiąc w Warszawie. — MARY PAT: Najpostępowsza organizacja kobieca chwili obecnej (2). — AURELJA WYLEŻYŃSKA: Dwa bale w Operze. — ALFONSINA STORNI: Zwodnicza gra (wiersz). — JANUSZ STĘPOWSKI: Żubry i Park Narodowy w Białowieży (2). — JANINA OSIŃSKA: Mój stolarz, mój stół i ja. — ZYGMUNT PRZERĘBSKI: W krainie manekinów. — A. G. GREENWOOD: Miłość kobiety. — TYM. TERLECKI: Dwie premjery. — Przegląd książek. — Kronika. — EFEB: Z higjeny i kultury ciała (1). — CAILLER-SOBAŃSKA: Ploteczki o modzie. — Modele mód. — Roboty ręczne. — Z. KULCZYCKA: — Kurs robót siatkowych. Kącik praktyczny. — MARJA ANKIEWICZOWA: O racjonalnem sprzątaniu. — Dobra gospodyni. — Towaroznawstwo. — Odpowiedzi redakcji. — Ogłoszenia.

BABSKIE DOCINKI

ZŁOŚLIWOŚĆ jest solą rozmowy, jest iskrą intelektu, zapalającą się jasno wśród gry słów, a czasem pełzającą skrycie, widzialną jedynie dla wprawnego oka.

Ale nie każda złośliwość.

Aby złośliwość mogła zasłużyć na wymienione chlubne epitety, musi być wypływem dowcipu, nie żółci i musi być emanacją wysokiej kultury duchowej.

Złośliwość może mieć zacięcie satyryczne i wówczas smaga i wyszydza wady i śmieszności d u c h o w e g o układu jednostki. Nigdy fizyczne.

Złośliwość, wytykająca i wyszydzająca usterki fizyczne, ubóstwo, kalectwo, albo atakująca czyjeś stosunki rodzinne w ich punkcie słabym, chromającym, czy w jakiś sposób odchylającym się od szablonu, nosi zaszczytną nazwę złośliwości małpiej, a jest w istocie swej najniezawodniejszem prostactwem.

Z tej to pięknej krynicy czerpią babskie docinki, o których właśnie chcę mówić.

Jak z powyższego sformułowania wynika, dowcipne te docinki, produkt niedorozwiniętego mózgu, idą drogą łatwiutką, jedynie sobie dostępną (według stawu grobla!), bardzo a bardzo przyziemną, a w wyniku dają tandetę, wielce obrzydliwą dla ludzi, posiadających jaki taki szlif duchowy.

A więc:

Osoba, sama wyglądająca bardzo pospolicie, żeby nie rzec trywialnie, ubrana jaskrawo, licho i arcykomicznie, patrząc przez pince-nez na mało smukłe odnóża swej interlokutorki, opowiada z pogardliwem skrzywieniem o nogach pewnej aktorki, zresztą zupełnie foremnych, iż są horrendalnie grube i tak rzucają się w oczy, że zasłaniają sobą całą scenę.

Inna dama, spoglądając przez dystyngowanie przymrużone oczy na nienowy i nieszykowny płaszcz swej towarzyszki, zauważa: „Niedawno darowałam zupełnie nowy płaszcz mej pannie służącej; chciałam jej coś darować, a mnie on się już znudził."

Taż sama persona, oglądając u znajomej kolję z masy perłowej, odezwała się, wydymając usta: „Jabym tego nigdy nie włożyła — uznaję tylko prawdziwe perły!" Znajomego, gdy zdejmował u niej w przedpokoju futro, spytała: „Czy to są psy?"

Pewnej młodej osobie przecięto nieszczęśliwym trafem przy operacji ścięgno w twarzy, co spowodowało skrzywienie policzka i ust. Piękna jej przyjaciółka, mająca aspiracje filmowe (rozumie się!), zaproponowała jej raz: „Wiesz, mam świetny pomysł: wstąpmy do szkoły filmowej. Ja będę grywała piękne heroiny, a ty brzydkie charakterystyczne."

Pewne quantum głupoty wyklucza widocznie wszelkie uczucia humanitarne.

A teraz próbka (dosłownie bez wartości...) z innej dziedziny:

Osoba, dbająca niezwykle o subtelną piękność rąk i myjąca je wskutek tego niesłychanie oszczędnie, odzywa się do innej, przykładającej wielką wagę do czystości i higjeny: „Ktoby pani bliżej nie znał, mógłby pomyśleć, że pani musi mieć okropnie brudne ręce, skoro je pani tak ciągle myje!"

Oto model rozumowania *à rebours*...

I oto typowa *mentalité* babska. Nie: kobieca. Kobieta — w pełnem, prawdziwem i zaszczytnem znaczeniu tego wyrazu — posiada dobroć, subtelność, intuicję, dowcip, a przedewszystkiem — rozum.

LYNX

FAŁSZE SPOJRZENIA

TRUDNO DZIŚ w Polsce pisać na nutę radosną. Coś dusi, zapiera oddech, leży na głowie kamieniem, ciśnie, boli. Coś niedobrego wkręciło się w mózgi i serca częstokroć najlepsze i żre, wykręca je, wykrzywia cudacznie, pokracznie, że, co niedawno nazywali czarnem, nagle, ni stąd ni zowąd okrzykują białem i wierzą, że jest tak, i że tak dobrze — wierzą w zbiorowym obłędzie sugestji, w jakimś makabrycznym tańcu św. Wita.

Czy naprawdę jest tak beznadziejnie źle? Czy nie generalizujemy zanadto zła, czy nie uwodzi nas fakt, że zło jest bardziej widoczne, bardziej krzykliwe i głośne, choćby go było stosunkowo mało, podczas gdy dobro jest ciche i skromne, więc, choć go i dużo wokół nas, to jakoś się go zdajemy nie widzieć? I czy, osądzając życie współczesne, nie dajemy się zbyt często za nos wodzić pewnym utartym, uświęconym, a niezawsze prawdziwym prawdom, takim jak: powojenne zepsucie, zmaterjalizowanie sumień, i tak dalej i dalej? Czytam przed kilku dniami w fachowem piśmie artykuł bardzo poważnego pedagoga na temat powojennej szkoły i powojennej młodzieży. Poważny pedagog jest w Zakopanem i widzi z okna swej willi, jak grupa starszych pań i panów sunie z plecakami na górską perć, podczas gdy towarzystwo młodych niedołęgów rozciąga się leniwie po leżakach i podśpiewuje foxtroty. To wystarcza poważnemu pedagogowi do stwierdzenia, że jeszcze w starszych żywie duch i krzepa, ale dzisiejsi młodzi do niczego. Takie rozumowanie jest bardzo charakterystyczne dla dużej większości sędziów współczesnego życia.

Obowiązuje jeszcze teorja o powojennem zepsuciu, więc się ją przykłada do pierwszego lepszego drastycznego szczegółu zjawisk i potwierdza regułę. Wbrew oczywistej oczywistości. Tylko dlatego, że lenistwo rozumu woli ułatwiać sobie orjentację w świecie przez zamykanie go w pewną sumę przyjętych miar i wag, zamiast przebić wolną głową ustaloną teorję i wyjrzeć poza nią nieuprzedzonem okiem myśli krytycznej. Ci, co załamują ręce nad „powojennem zepsuciem", niech będą tak uprzejmi rozglądnąć się najpierw, nim wydadzą ostateczny wyrok, po kole swych znajomych bliższych i dalszych, nie przyjaciół, bo tych się „dopasowuje" do samego siebie, ale znajomych, których nam niesie sytuacja, przypadek. — Zacznę od spostrzeżeń własnych. Mieszkam we Lwowie od lat 10, znajomych mam stosunkowo niewielu. Ale oto takie przykłady. Najpierw czterech synów kolegi, wychowanych w prawdziwym powojennym niedostatku. Wszystko chłopcy najlepsze, ideału spragnione jak kania deszczu, skauty, zuchy. Jeden już na stanowisku, młody tęgi społecznik-organizator. Gdzie indziej trzech synów, czyste złoto, zapamiętała praca, zawzięta, ani trochę blagi i niedołęstwa. Tam znowu pracujący dniem i nocą technik a w zimowe święta śmigający na nartach jak orzeł, tuż obok drugi taki sam i jeszcze jeden i jeszcze, dziewczyny najskromniejsze, „przedwojenne", ofiarne dla swoich i bliźnich. Zaledwie dwu nygusów, niedołęgów. A między starszymi ile dobra i piękna! Panowie i panie! Rozglądnijcie się między swymi znajomymi, ołówek do ręki i piszcie, liczcie, róbcie statystykę dobra i zła!

Napewno wypadnie tak jak moja, napewno!

A jeśli jest tyle dobra wokół nas, to niemożliwe, żeby się ono gdzieś ulotniło bez reszty szparami, żeby nie porosło młodym, tęgim lasem, żeby nie zaważyło na losach narodu! Bo przypomnijmy, jak już było dawniej. Nigdy nie było tyle zła w Polsce i na świecie co za czasów saskich i poniatowskich. „Wiek zepsuty", filuty, marnotraki, pijaki, żony modne, przechodne z rąk do rąk, zdrajce, oczajdusze. Ale pod tą powierzchnią przegniłą jaśnie oświeconych ile szarej, pospolitackiej uczciwości i cnoty, bohaterstwa często!

Z tejże szarej cnoty wyszedł Wielki Sejm i żołnierz kościuszkowski. Naprawdę nic nie ginie w naturze, więc jakżeby miało przepaść z kretesem tyle dobra, którego statystykę zrobiliśmy właśnie przed chwilą?

A pojedźcie jeszcze na wieś, mazurską zwłaszcza i wielkopolską! Dużo tam dzisiaj biedy i narzekania, zła, często, gęsto, ale w sumie jaki żelazny kapitał na przyszłość! Tylko znowu nie dać się wystrychnąć na dudka szczegółom zbrodni i łajdactwa! Mógłbym znowu sypać przykładami. Nie przykrawywać zjawisk do własnej duszy zwątpiałej, choć to takie arcyludzkie malować świat według samego siebie! A nadewszystko nie generalizować szczegółów! Powtarza się naprzykład jako rzecz urzędownie stwierdzoną, że porozbiorowy Polak jest z natury załzawionym, romantycznym sensatem, że już przychodzi na świat z nosem opuszczonym na kwintę i stąd tyle smętku w polskiej muzyce, i polskiej poezji, a nawet w polskim filmie. Twierdzę, że nie byłoby tyle tego smętku i w muzyce i w poezji i we filmie, gdyby Polak artysta chciał być naprawdę sobą, gdyby potrafił wyzwolić się skutecznie z pod pewnych sugestyj, utrzymywanych sztucznie przy życiu, które mu powiadają zgóry, że jeśli chce być szczerze polskim artystą, to musi świecić łzami na przestrzał. Dość że dla tych przemożnych sugestyj sili się częstokroć polski poeta i muzyk na minorową tonację nastrojów, żeby nie popaść w sprzeczność z mentalnością, z charakterem narodu... Jakby ta mentalność i charakter narodu nie były tylekroć wymysłem, nawet pozornie logicznym, ale tylko wymysłem fałszywie syntetyzujących esseistów, krytyków. Co prowadzi czasem do zupełnie sprzecznych stanowisk w jednej i tej samej sprawie. Do tego prowadzi nieszczęsna generalizacja czynionych przez siebie spostrzeżeń, aby tylko udowodnić pewną tezę, która jest prawdą subjektywną dla nas samych, a mybyśmy chcieli narzucić ją innym. Więc tym, którzy bają o przyrodzonym smętku polskim, radzę przyłapywać Polaka na gorącym uczynku słonecznej radości w rozmowie, zabawie i tańcu, radości niekrępowanej względami na „narodowy charakter". Zapewne, nie jest to naiwna, dziecięca rozhukana radość południowca, ale przecie radość życia prawdziwa. Cóż dopiero mówić o chłopie mazurskim, krakowskim!

Podobnie ma się rzecz z owemi wciąż jeszcze na ziemiach polskich pokutującemi duchami: austrjackim, pruskim i moskiewskim. O tym ostatnim mówi się najwięcej. Wprawdzie przedstawicielami tego moskiewskiego ducha są częstokroć ludzie urodzeni i wychowani... w Krośnie, Tarnowie i Stryju, ale o tem badacz ducha nie myśli, bo toby mu psuło artystyczną całość koncepcji. Nie chcę przez to powiedzieć, jakoby duch moskiewski nie wiał sobie po Polsce i to tęgo. Na pewno wieje i dlatego tak nam dzisiaj duszno i boleśnie, tylko nie tłumaczmy nim wszystkiego per fas et nefas i nie wyciągajmy stąd pogrzebowych konsekwencyj co do przyszłości narodu.

Kiedy w 1920 r. bolszewicy zbliżali się do Warszawy a ja cofałem się z rozbitemi oddziałami Armji Ochotniczej do Lwowa, nie wątpiłem na chwilę, że musimy zwyciężyć, bo mi się nie mogła pomieścić w głowie możliwość klęski wobec faktu nagromadzenia się w duszy narodu tyle energji potencjalnej dobra, składanego przez lat dziesiątki na kapitał pospólnej fortuny. Podobnie sprawa stoi dzisiaj. Ofensywa wszelakiego zła na ducha i dobra cywilizacyjne narodu załamie się na okopach niedostrzegalnej często uczciwości i tężyzny.

KAZIMIERZ BROŃCZYK

NA MOJEM BIURKU

Z PANIĄ ZOFJĄ STRYJEŃSKĄ nie rozmawiałam już kilka lat — —

Ostatni raz w Zakopanem, kiedy to kapryśnie marzyła o tem, aby ściany swego pokoju obić do połowy barchanem angielskim... Ona, której dekoracje zdobić mogą najwspanialsze przybytki sztuki! Było to oczywiście marzenie kapryśne, ekscentryczne — nic z dniem codziennym nie mające wspólnego, jak zresztą cała jej twórczość.

Wtedy — o ile czytelniczki przypominają sobie — naszkicowałam sylwetkę Stryjeńskiej w „Swiecie Kobiecym" p. t. „Wizyta w domku góralskim".

Bo jeszcze wtedy mieszkała przy Kościeliskiej, na pagórku, — u Sobczaków — —

Wiele się od tego czasu w jej życiu niecodziennem, odważnem, nie znoszącem więzów krępujących — zmieniło. A także w jej sztuce.

Wtedy mówiła do mnie: „Jestem przy początkowych literach abecadła i nie wiem, do której litery dojdę".

Dzisiaj Stryjeńska stoi już poza abecadłem, litery złożyły się w słowa, a słowa w najpiękniejszą książkę.

Dzisiaj trzeba już patrzeć na nią poprzez dwie serje „T a ń c ó w p o l s k i c h" i „O b r z ę d y", poprzez „U c z t ę W i e r z y n k a" i „K r ą g P i a s t ó w", poprzez „Dekoracje do Balladyny" i „Muzykę Podhala", poprzez wszystkie ostatnie wystawy w Sztokholmie, Budapeszcie, Pradze, Wiedniu, Brukselli, Hadze, Amsterdamie.



ZOFJA STRYJEŃSKA

Po kilku latach Zofja Stryjeńska złożyła mi wizytę i oto jest... n a m o j e m b i u r k u. Bo książeczka Jerzego Warchałowskiego* to prawie tak jak wizyta pani Zofji.

Mówi wiele rzeczy, choć wszystko w słowach oszczędnych.

Więc najpierw jak to „Zosia, dziecko Krakowa, wszechstronnie zdolne, żywe — przez szkołę przelatuje jak huragan" (tak! to do niej takie podobne!) Jak potem studjuje u Stroynowskiego, u Niedzielskiej, u Bukowskiego. Jak marzy o Akademji Sztuk Pięknych, ale w Krakowie... kobiet nie przyjmują. Jak słysząc „o bujnem życiu w Monachjum, pragnie użyć go po męsku". Jak „wpada na pomysł przebrać się za chłopca. Idzie do fryzjera, obcina włosy à la garconne, przebiera się w ubranie brata, błaga ojca o wyrobienie męskiego paszportu". Jak „dnia 1 października 1911 r. staje w oknie wagonu mały chłopiec o cudnej, czarnej czuprynie, kredowo białej cerze, olbrzymich, czarnych oczach. Do Monachjum na studja malarskie!" Jak „na dwustu kandydatów zdających do Akademji, przyjęto czterdziestu, między nimi... Tadeusza Grzymałę". Jak „młodziutka malarka gra świetnie r o l ę chłopca" i jak „dwie Włoszki, matka i córka, u których mieszka, zakochały się w małym malarzu".

W taki sposób barwny, zajmujący opowiada Warchałowski o życiu Stryjeńskiej.

Sztukę jej charakteryzuje jak głęboki miłośnik i znawca. Nikt drugi chyba nie był tak powołany do napisania monografji o Stryjeńskiej jak prof. Warchałowski, śledzący jej talent od pierwszego pączka!

Jakże starannie dobrał ilustracje!

Widzimy „Bożków słowiańskich" i „Ilustracje do Trenów Kochanowskiego", „Muzykę Podhala" i „Tańce polskie", „Poranek" i „Wieczór", „Polskie bajdy" i „Ilustracje do sielanek Szymonowicza".

Cały świat zamierzchłych, zawadjackich ludzi, żyjących instynktem, krwią kipiącą i ślepą nieokiełznaną siłą.

I dobrze nagle wśród tych ilustracyj pani Zofji — po różnych książkach psychologicznych, po różnych nowościach zalegających moje biurko — odpocząć. Po tych ludziach sztywnych, „intelektualnych", których powiedzonka i psychologiczne stany rozdrabnia się aż do znudzenia — przejść w świat, daleki od rzeczywistości, do ludzi pędzonych w życie głuchą, parzącą siłą instynktu, wielmożną, wszystko druzgocącą wolą krwi, mięśni, serca bijącego jak młot.

Napisałam, że „się odpoczywa" przy oglądaniu ilustracyj Stryjeńskiej. Czyż się odpoczywa naprawdę? Tak, ale w tym sensie pracowitym... — Bo takich ludzi chciałoby się spotkać — Zaklętych i powołanych do życia na papierze przez fantazję malarki — raz zobaczyć, rozradować się nimi i z nimi pospołu. Chciałoby się od nich czegoś — — czegoś nauczyć. Czy ja wiem czego? Może tego kolosalnego rozmachu i szczęścia prawie dziecinnego, może tej zachłannej zdobywczości i wiary w legendarny świat bajki, może posłuszeństwa wobec ślepych a mądrych praw przyrody.

I już to nie jest odpoczynkiem. Już to jest ostrogą, bodźcem do myśli poza szarą, codzienną rzeczywistością.

Tak jest. Książeczka tak pięknie wydana w „monografjach artystycznych" pod redakcją Tretera — a leżąca skromnie pośród wielu innych na mojem biurku, może się równać prawie wizycie pani Zofji Stryjeńskiej.

Patrzę na „Ładę" (z cyklu: „Bogowie słowiańscy"), wiszącą w moim gabinecie, a potem sięgam do kasetki, wyjmuję fotografję, którą mi pani Zofja przed paru laty w Zakopanem ofiarowała i piszę: „Droga i miła Pani Konstancjo! Oto króciutki żądany artykulik o monografji Warchałowskiego, a oto fotografja: proszę dobrze popatrzeć, czyż nie jest to jedna z tych twarzy oryginalnych, które nam przekazało quattrocento włoskie?"

KAZIMIERA ALBERTI

---

* J e r z y W a r c h a ł o w s k i: *„Zofja Stryjeńska"*. Z 32 reprodukcjami. Str. 31. Nakł. Gebethnera i Wolfa. Warszawa.

MIESIĄC W WARSZAWIE

UBIEGŁY miesiąc upłynął raczej pod znakiem spraw politycznych niż artystycznych. Nie miejsce tu, aby o tem pisać, odwróćmy więc oczy od ponurych często i przykrych spraw czynnego życia i zatrzymajmy wzrok na wydarzeniach natchnionej fikcji. Dwa tylko w ostatnich czasach były wydarzenia, będące radością dla duszy i myśli: otwarcie wystawy obrazów u Baryczków i gościna teatru francuskiego. Wystawa płócien naszych najwybitniejszych malarzy w prześlicznych salach stylowego domu na Starem Mieście napoiła radością i zachwytem wszystkich zwiedzających. Nie jestem fachowcem w tej dziedzinie, nie będę o tem szczegółowo pisała. Chcę tylko zaznaczyć, że wystawa ta pozwoliła niewielkiej dotychczas a wciąż rosnącej grupie zachwyconych potwierdzić swój sąd o fenomenalnym talencie niedawno objawionego Rafała Malczewskiego. Syn wielkiego ojca, Jacka, jest rzadkim dowodem dziedziczności talentu, który, rzecz dziwna, w tem drugiem pokoleniu nietylko nie blednie, ale, kto wie, czy nie dochodzi do większego jeszcze stopnia natężenia. Jest to, obok Stryjeńskiej, malarz upojony, rozegzaltowany barwą. Jego pejzaże, tajemniczy, napozór niepodobny do niczego świat, są nam w gruncie rzeczy dobrze znajome: po chwilce oszołomienia mówimy sobie z radością, że przecież tak jest, tak właśnie wszystko wygląda, tylko że nam to pierwej na myśl nie przyszło. Jego przesada i deformacja barwna, cała jego wersja świata jest w istocie rzeczy bardzo realistyczna, bo przekonywa odrazu, witamy ją z ulgą, jak zapomniane słowo, które nagle powraca do pamięci.

Drugą sensacją był przyjazd trupy francuskiej ze sławną aktorką, panią Pierat, na czele. Sala wyprzedana do ostatniego miejsca na wszystkich czterech przedstawieniach, entuzjazm ogromny. I było czem się zachwycać. Pani Pierat jest aktorką w bardzo wielkim stylu. Mieliśmy sposobność oglądać ją kilka wieczorów zrzędu w coraz to innych rolach. Podobnie jak przeczytanie naraz wszystkich książek jednego autora, wielką przyjemnością okazało się takie przeżycie pod rząd kilku wcieleń jednej aktorki. Pani Pierat grała w słabej sztuce Bernszteinea, w inteligentnej, dowcipnej komedji ciekawego pisarza Giraudoux i w sensacyjnej sztuce Bourdet'a, mającej za temat miłość lesbijską. Ale muszę wyznać szczerze, że najbardziej porwała mnie i zachwyciła jako „Fedra". To nie jest snobizm, ani konwencjonalizm literacki. Przeciwnie, muszę wyznać, że szłam na „Fedrę" uprzedzona, przygotowana na szanowne nudy i nieznośny patos. Tymczasem wszystkie namiętności i drastyczności tamtych sztuk pokazały się dziecinną zabawką wobec tego wulkanu bezwstydu i namiętności. Pani Pierat, obłąkana szałem miłosnym, chwytająca się wspaniałym gestem za brzuch, wijąca się jak płomień dokoła przerażonego młodzieńca, zarażała swoją porywającą rozpaczą. Ratowały ją hieratyczne szaty, we współczesnych sukniach ta sztuka byłaby niemal nie do grania. Był to jeden z najsilniejszych wstrząsów jakie przeżyłam w teatrze.

Ale kiedy się mówi o „Fedrze", jakże nie wspomnieć o Boyu, i o jego genjalnym przekładzie tej sztuki. Wyszła ona właśnie niedawno ponownie w ślicznym wydawnictwie, pchanym nadludzkim niemal wysiłkiem samego tłumacza, wśród niedostatecznego poparcia ogółu. To nawet dziwne, że przy olbrzymiej popularności Boya wciąż jest za mało abonentów na jego „Bibljotekę". Żaden z wielbicieli, którzy zarzucają go dziesiątkami listów, nie może znaleźć lepszego dowodu swego uwielbienia, jak poprzeć ten wysiłek wielkiego pisarza i nie dać mu pójść na marne. A że tych wielbicieli jest dużo, dowodzi rezultat plebiscytu „Wiadomości Literackich" na temat: „Kogo wybralibyśmy do Akademji Literatury". Największą ilość głosów otrzymał właśnie Boy i dobrze się stało, że ogół czytający stwierdził niewątpliwą zresztą prawdę, że to jest największy u nas wśród żyjących pisarz, najbardziej kochany, podziwiany i wpływowy.

Tyle o wydarzeniach. Ale może na zakończenie zgodzą się czytelniczki „Świata Kobiecego" wpaść ze mną na chwilę do kawiarni gdzie zbierają się artyści i zerknąć zbliska na niektóre nasze sławy. Oto niewielka cukiernia Ziemiańska przy ulicy Mazowieckiej. Wchodzimy: tłok, duszno, nieprawdopodobna ilość ludzi na tak małej przestrzeni. Spoglądamy w prawo. Oto pod ścianą stolik „plastyków". Przy nim subtelna, uderzająco podobna do mickiewiczowskiej twarz Kuny. Obok okrągły, dobroduszny i mądry Skoczylas. Z nimi siedzi ognista, jakby przeżarta gorączką, pełna nieodpartego, niespodziewanego wdzięku kiedy mówi — Stryjeńska. Jeszcze kilku innych, których trudno odróżnić w tym ścisku. Ale idziemy dalej, wchodzimy po schodach na t. zw. „górkę" czyli półpiętro, między dwiema kondygnacjami cukierni. Tam w niewielkiej niszy „stolik klubowy". Tam można zrobić przegląd wszystkich prawie pisarzy. Zwłaszcza we wtorek wieczorem, kiedy wychodzi próbny numer „Wiadomości". Godziny urzędowe: od 1-szej do 3-ciej i od 10-tej do 1-szej w nocy. W innych porach przy stoliku pusto, ale nikomu obcemu przy nim siadać nie wolno. Widzimy tam ogniste, niebardzo przytomne oczy i myszkę Tuwima, doniedawna Goetla, który wyjechał do Indyj, ślicznego Wierzyńskiego, inteligentne okulary Parandowskiego, ironiczny profil Słonimskiego o niewyczerpanych nigdy pokładach dowcipu. Zagląda tu czasem Boy o smutnej i zdziwionej twarzy, który czasem siedzi zasępiony, nieobecny, czasem mówi bardzo głośno, gestykulując zabawnie i ściąga wiernopoddańcze spojrzenia przechodzących kobiet. Czasem pojawia się czarująca, mądra Nałkowska. I, kiedy się znajdą w Warszawie, promieniujące nieodpartym wdziękiem siostry Kossakówny: Pawlikowska i Madzia Samozwaniec. Śliczny pies redaktora Grydzewskiego czuwa na straży całego towarzystwa. Owo półpiętro, zwane przez niektórych ironicznie Parnasem, jest nowoczesną formą klubu, gdzie omawia się bieżące sprawy, wszystko co pasjonuje, co obchodzi, co interesuje, każdą premjerę, każdą książkę i, wbrew pogłoskom postronnych, — bardzo rzadko i skąpo — siebie nawzajem. Znamienne też zjawisko, że te godzinne rozmowy toczą się przy pół-czarnej i że nieobecną w nich jest wódka, która tak często bywa pośrednikiem między artystą a światem. Taki stolik w kawiarni jest najmilszą formą obcowania ludzi ze sobą. Ludzi znajomych, nie mówię o przyjaciołach, którzy szukają większej ciszy i bliskości. Przychodzi się i odchodzi, kiedy się chce, mówi się lub milczy wedle woli, niema tego przymusu, tych ciężkich robót rozmowy, które tak obciążają i psują wszelkie fife'y i inne towarzyskie zebrania. Żadna udręczona gospodyni nie myśli o częstowaniu i bawieniu gości, nikt nie ma obowiązku „odsiadywania" wizyty kiedy się znudzi lub zmęczy. A z drugiej strony, czemże innem jest taki stolik w kawiarni jak nie nowoczesną wersją salonu i gdzież indziej przychodzi się tak wyłącznie dla rozmowy, a nie dla wypełnienia nudnego obowiązku, dla wyżerki, albo ogłupiania się grą w karty? Francuzi dawno to zrozumieli i zapewne dlatego mają „Café" na każdym rogu ulicy. Co się tyczy Warszawy, obraz jej życia artystycznego byłby niepełny, gdyby się nie zajrzało do tej dusznej, zadymionej i nasyconej fluidem intelektualnym Ziemiańskiej.

IRENA KRZYWICKA

NAJPOSTĘPOWSZA ORGANIZACJA KOBIECA CHWILI OBECNEJ

W WYPADKACH ZAŚ, kiedy jest wypłacany systemem ubezpieczeniowym, bywa pokrywany z wkładek ubezpieczeniowych kobiet. Otóż Open Door uważa to za rażącą niesprawiedliwość: jeżeli kobiecie ustawowo zabrania się pracy w okresie kiedy, jak wykazuje stan faktyczny, ona sama uznaje się już za zdolną do pracy i kiedy zarobki są jej podwójnie potrzebne i jeżeli, nie dopuszczając jej do pracy, daje się jej zasiłek, to nie można jej jednak kazać sobie wypłacać go z jej własnych pieniędzy ubezpieczeniowych. Jest to, jak wyraziła się jedna z mowczyń na ten temat, jakgdyby państwo mówiło do pracownicy: „Zmuszam cię do ubezpieczenia się, a potem daję ci te pieniądze na moich warunkach". Open Door sprzeciwia się więc stanowi obecnemu, w którym państwo mówi: „Zakazuję ci pracy, a za to daję zasiłek". Zamiast tego Open Door żąda zostawienia matce możności wyboru między pracą a wystarczającym zasiłkiem, zostawienia do jej uznania, co w jej warunkach będzie najlepszem dla niej samej i dziecka. Żąda zatem Open Door, aby państwo mówiło pracownicy: „Jeżeli przestaniesz pracować na ten okres, dam ci wystarczający zasiłek". I oczywiście domaga się rzeczywistego wypłacania i odpowiedniej wysokości tego zasiłku. Niema wątpliwości, że gdyby do wyboru kobieta miała w tym okresie pracę lub wystarczający zasiłek, wybrałaby zasiłek, przyczem ta właśnie możność wyboru przyczyniłaby się do utrzymania zasiłku na odpowiedniej wysokości, ze względu na troskę społeczną o dobro matki i dziecka.

Ale nietylko ze względu na faktyczny stan rzeczy występuje Open Door tak ostro przeciw przepisom ochronnym o macierzyństwie. Występuje on także przeciw nim dla powodów zasadniczych. Uważa mianowicie, iż absolutny zakaz pracy po urodzeniu dziecka na tak długi okres, z zupełnem pominięciem decyzji kobiety, dowodzi jasno, że traktuje się ją jako istotę, która nie wie sama co dla niej najlepsze i nie umie tego rozróżnić, jako istotę, której trzeba dlatego „nakazywać" i „zakazywać". Odpowiedź, którą się tu stale dostaje, że decyduje wzgląd na dobro dziecka, opiera się na fałszywem przypuszczeniu, że matka sama, o ile tylko nie zanadto przybita nędzą, nie uczyni dla tego dziecka co najlepsze — a po drugie, przez składanie całej ważności w tym okresie na dziecko, zdaje się czynić matkę tylko dodatkiem lub raczej środkiem wydania go na świat. Jednem słowem, żeby znowu zacytować słowa pani Le Sueur — Open Door Council uważa, że „prawdziwe dobro dziecka, rodziny i całych społeczeństw osiągniemy dopiero wtedy, kiedy matka uważana i traktowana będzie jako wolna dorosła istota, której przysługuje swoboda i możność decydowania dla samej siebie".

Inną jeszcze konwencją, wywołującą opozycję Open Door, jest zakaz spełniania pracy, przy której ma się do czynienia z farbami ołowiowemi. Procesy ołowiane wchodzą w grę przy takich pracach, jak polewanie luster, ceramika (farby ołowiowe), malarstwo pokojowe, drukarstwo. Jak wiadomo, zatrucie ołowiem ma fatalne skutki ze względu na rasę, powoduje bowiem poronienia i martwe urodzenia, i stąd powstała opinja, że jest szkodliwsze dla kobiety, niż dla mężczyzny. Jednakże statystyki przeprowadzone we Włoszech, Niemczech, Francji i Ameryce odnośnie do mężczyzn wykazały, że zatrucie tylko ojca powoduje te same skutki w wysokim procencie. Odnośnie do kobiet nie przeprowadzano żadnej statystyki; te pracownice, które dotąd ogólnie brano pod uwagę, należały do najuboższej klasy robotnic, bardzo nisko płatnych, stale niedożywionych, cierpiących na niedomagania systemu trawienia i złe zęby — co czyniło je szczególnie podatnemi na zatrucie. Żadnych naukowych dowodów co do gorszych skutków zatrucia ołowiem dla kobiety jednak nie ma. Mimo to Międzynarodowa Organizacja Pracy, przeprowadziwszy ze swej strony badania i mając przekonywające dowody o fatalnych skutkach zatrucia ołowiowego u mężczyzn, w ich pracy wprowadziła tylko ograniczenia; nie przeprowadziwszy zaś żadnych badań i nie mając żadnych dowodów naukowych co do skutków tegoż zatrucia u kobiet, opierając się zatem tylko na niestwierdzonej opinji, wprowadziła dla niej w tym dziale absolutny zakaz pracy. Otóż Open Door domaga się także odnośnie do kobiety przeprowadzenia takich samych naukowych statystyk, a do ich czasu — jednakich dla obu płci ograniczeń w pracy, przy której zachodzi niebezpieczeństwo tego zatrucia. A więc staje tu Open Door w roli burzyciela niestwierdzonych ogólnikowych opinij, w roli burzyciela tych legend, które wciąż jeszcze osnuwają kobietę pracującą aureolą słabości, tamując jej samodzielne kroki.

Jeszcze jaskrawiej wystąpiło to w opozycji Open Door przeciwko ograniczeniom kobiet pracujących przy podnoszeniu ciężarów. Wychodzi on tu z założenia, że przy tego rodzaju pracy ma kobieta w fabryce cały szereg ułatwień technicznych, podczas kiedy bez ich pomocy spełnia także cały szereg podobnych zajęć w codziennem gospodarstwie domowem. Opiera się tu przytem Open Door na opinji Międzynarodowego Zjazdu Kobiet Lekarek w r. 1928, który wydał oświadczenie, że „w opinji tego zjazdu wszelkie ustawy ograniczające stałą granicę wielkości ciężaru, które kobiety mogą podnosić, są nienaukowe. Ustawy traktujące o podnoszeniu ciężarów powinny określać ciężar dozwolony dla mężczyzny i kobiety zarówno według siły indywidualnej, ustalonej na podstawie umiejętnie przeprowadzonego badania".

Innym jeszcze punktem, który na konferencji berlińskiej poruszono, to zasada: równa płaca za równą pracę. Zasadę tę zamieściło Międzynarodowe Biuro Pracy wśród punktów wytycznych, jakie sobie wyznaczyło na początku swej działalności. Cóż słuszniejszego nad nią? — a jednak codzień jesteśmy świadkami, jak we wszystkich krajach jest ona nieprzestrzegana. Co ciekawsze, sprzeciwiają się jej same kobiety, dla względów praktycznych oczywiście, nie dla zasady, np. kobiety belgijskie, które wobec zastępów bezrobotnych mężczyzn mogą się utrzymać przy pracy tylko dlatego, że spełniają tę samą pracę za gorsze wynagrodzenie.

Nietylko jednak ze względu na rodzaj pracy podlega kobieta ograniczeniom. W wielu krajach szereg nowych ograniczeń zaczyna się z chwilą wyjścia zamąż. A więc np. bez pozwolenia męża nie może kobieta podejmować pewnych prac, nie ma kontroli nad własnemi dochodami, nie może sama przed sądem upomnieć się o wypłatę swych zarobków. Niektóre z tych ograniczeń odnoszą się do mężatek np. w Niemczech i Szwajcarji, w Hiszpanji kobieta zamężna podlega im wszystkim. Otóż Open Door występuje ostro także przeciw tym ograniczeniom.

Tak więc wygląda w ogólnych zarysach polityka Open Door Council, przedstawiona na konferencji berlińskiej i w całości przejęta przez Open Door International, który już dzisiaj składa się z następujących organizacyj:

W charakterze stowarzyszeń afiljowanych:

w Anglji — Stowarzyszenie narodowe nauczycielek; Katolickie stowarzyszenie St. Joan's Social and Political Alliance;

w Finlandji — Narodowa Unja Kobiet;

w Szwecji — Rada Centralna Związków Urzędniczek;

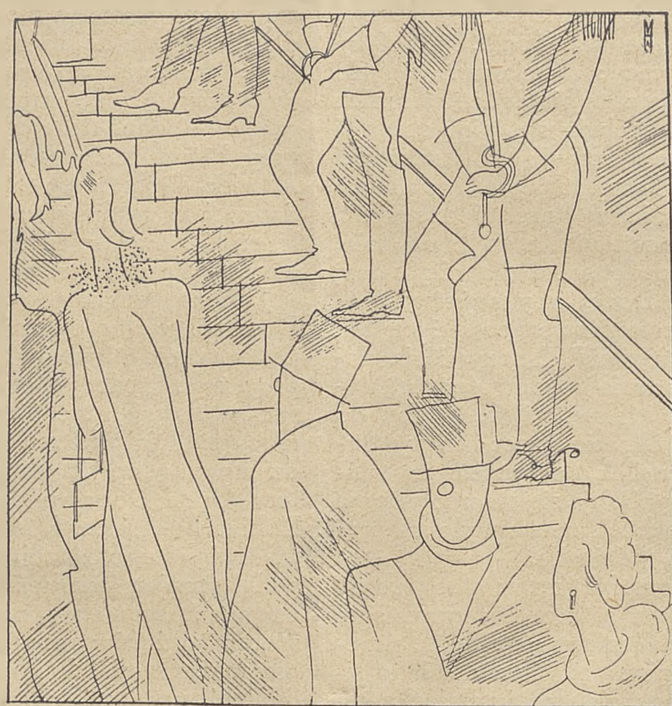
(Dok. nast.) MARY PAT

DWA BALE W OPERZE

JEDEN MIAŁ MIEJSCE w Tłusty Wtorek roku 1856-go i opisany został przez Zofję Węgierską, świetną korespondentkę Dodatku do Czasu, zbyt dziś zapomnianą „Mistrzynię feljetonu", o której pisała niedawno w „Kurjerze Krakowskim" Alina Butrymowicz.

Ponieważ kazano Węgierskiej być „zwierciadłem paryskiej stolicy", więc poszła na bal do Opery. Gmach Opery przy ulicy Lepelletier płonął jak pochodnia.

„Głowę mając oświetloną girlandami gazu a ogon gdzieś gubiąc w ciemności nocy, wyglądał jak smok łykający nieskończony szereg masek, które podskakując za taktem dalekiej orkiestry, niknęły w rozwartej paszczy potworu".



Uwijali się przed nim przekupnie:

„Panowie, bilety, kto chce biletów! Panie baronie, bilety tańsze, niż w biurze! Bilety z okazji, mości ambasadorze! Loża, mości książę!"

Chłopaki rzucały się szuwaksować buciki, — szuwaksować, choćbyś miał, panie hrabio, buty z różowego atłasu!

Z loży, ubranej fałszywemi kameljami, sala wydawała się być podobną do rozhukanego morza, zbożowego łanu, szamotanego burzliwym wichrem. Tylko ten, kto zna Izbę Deputatów, Bursę o południu, bal ten sobie wyobrazić może. — Pod blaskiem 25 tysięcy świec tłum skrzeczący, tańczący, wrzeszczący i śpiewający. Orkiestra z 300 muzykantów złożona, głosem trąb anielskich na sądzie ostatecznym gra polkę z „Pięknej Heleny". Piekielna to była polka!"

Tłum ludzi — dawnych. „Wszystkie ubiory, jakie nadał ludziom klimat, lub zrodził przepych ożeniony z kokieterją, uwiązane w jedną girlandę, drgającą konwulsyjnie, jak wąż pocięty na sztuki, sunęły podobne do bezładnej wizji pokoleń, symbolów i figur historycznych całego świata."

Gdzież namiętne głowy, które paliły się pod beretami o powiewnych piórach? Gdzie płomienne serca, co biły pod temi kaftanami z jedwabiu lub stanikami ze złota i pereł? Ułożyli się w grób i nie czekają na zapomnienie. Samo przyszło. Ich awatory budzą się w ostatnią noc karnawałową i — polkują.

W lożach, różowe światło półkolistych lamp... Damy, ciała napojone drażniącemi woniami piżma, pokryły białą i czerwoną warstwą i tak nabalsamowane siadają, raczej kładą się w karminowych fotelach. Na aksamicie piękność swą sztuczną światu pokazują.

Odrzuciły swe kaszmirowe szale i ramiona ich wydobyły się ze staników. Na piersiach białe kamelje i fiołki parmeńskie. Na głowie modne uczesanie *à l'Espagnole:* wszystkie włosy, zagarnięte wtył, chowają się w siatkę perłową razem z warkoczem, przepiętą długą złotą strzałą.

Nagła cisza — występ — dlatego że cesarzowa jest Hiszpanką? — tancerki hiszpańskiej... Francuzi jedynie milczą podczas baletów a uważnie słuchają tylko piruetów...

Petra Camara, urzeczywistnienie bohaterki Byrona i Musseta, mogłaby być uwielbianą przez wszystkich romancerów... Sam Goya nie ubrałby jej charakterystyczniej — najszaleńszą miała tualetę.

„Wyobraź sobie iskrę, na której rysują się czarne hafty, powiewają frendzle, kutasy, pióra, kokardy — błyszczą blaszki, dzwonki, gruchawki, guziki, breloki, drogie kamienie, perły, muszle, słowem wszystkie ozdoby, jakie może pomieścić na sobie baskina."

Petra Camara tańczy La Sevillana.

Potem znów muzyka gra walca — walca Straussa. Namiętnie, porywająco, wołająco... Jakby to był ostatni walc... A przecież tu wielki post smyczków nie połamie.

Kto z Opery nie idzie na kolację, to jakby na balu nie był, jakby wyszedł z teatru w pół sztuki, jakby wstał od obiadu po zakąsce. Jedni więc jadą do Lasku Bulońskiego na *soupe à l'oignon, aux trois saveurs,* bo ta otrzymała palmę pierwszeństwa na dorocznym gastronomicznym konkursie, inni idą do Vachette'a albo do *Maison Dorée.* Dla biednej pani Zofji bal kończył się napisaniem korespondencji...

„Paryż jest naprawdę arcydziełem szatana, najwyrafinowańszym, najsubtelniejszym ekstraktem pokus, jakie ku zatraceniu człowieka odwieczny nieprzyjaciel Nieba na piekielnym ogniu wysmażył. Nigdzie wiara w jego interwencję nie jest tak jak tu żywa i tak uzasadniona."

— — — — — — — — — — — — —

Drugi bal — *Bal de la Fourrure* — miał miejsce również w Tłusty Wtorek; roku 1930. Idąc śladem mej nieporównanej poprzedniczki, chciałabym go też opisać.

Dyskretne, choć czerwonawe światło, przeglądające przez wielkie okna Opery, nie starało się rywalizować z iluminacją bulwarów.

Chasseur podbiegł do auta, podając jedną rękę pani, drugą wyciągnął do pana po suty napiwek.

Schody wiodące na piętro z dwóch stron strzeżone były przez Gwardję Republikańską: w obcisłych spodniach, rewolucyjnych jeszcze mundurach.

Damy wchodzą powoli, żeby ich złotolitym płaszczom napatrzyć się można. Wygląda to jak w Music-Hallu, defilada wedet.

Panowie w smokingach i frakach. Na afiszach to zastrzeżone było w sposób bardzo kategoryczny. W dzisiejszym demokratyczno-zamerykanizowanym Paryżu dodatek konieczny. Była też mowa o tem, iż kostjumy są dozwolone. Mało jednak z tego pozwolenia korzystano. *Mardi Gras* nie jest dziś końcem karnawału, a nawet wogóle karnawał nie istnieje. Więc nie dziw, że nie widzi się, jak za dawnych czasów, tłustego wołu, że inaczej niż każdego dnia, dnia tego się nie żyje, ani też specjalnie nie przebiera. Jedynie tylko, nie wiem za czyjem rozkazaniem, w olbrzymiem mieście żaden mówca głosu nie zabrał. Jedynie dzieci, rade utrzymywać tradycje, po ulicach w kostjumach biegały. Ale ciekawi zebrani przed Operą nie mieli żadnych specjalnych widoków. Jeśli nie brać pod uwagę, dzisiejsze stroje pań dla niebardzo wprawnego oka wydają się być

travestis. Szczególnie wobec pantofelków o barwach tęczy, *talon rouge* oznaczało coś dawniej, a teraz nic nie znaczy. Zarówno jak niebieskie, zielone i żółte koreczki.

Sala przybrana jest w krzyżujące się girlandy złotych i srebrnych żarówek, loże w różach sztucznych i ogromnych; po scenie chodzić można, koło wielkiej estrady szukając oparcia, za kulisami palić papierosa. Jeszcze się nic nie dzieje, tylko dziesięć orkiestr gra naprzemian, wszyscy biją brawo, gdy odzywa się argentyńskie tango, gwiżdżą na nowomodne walce. Walc dawniej ludzi rozmarzał, dziś tylko usypia. Naszym nerwom trzeba cocktailu nowych tańców, żeby je poruszyć.



Dwunasta gdzieś na mieście bije, tu słyszymy tylko jej echo — Marsyljankę. Publiczność, najłatwiej to przychodzi tym tłumom, które stoją, równa się na baczność. Potem następuje przedstawienie, program dość obfity. Clou jego to występ nowego rosyjskiego baletu.

Skutki francusko-rosyjskiego sojuszu dotąd istnieją. Wszystko, co jest sztuką rosyjską, ma tu dobrze utorowaną drogę. Zdumiewającą jest ta trwałość i budząca nadzieję na naszą przyszłość... Widocznie sojusze polityczne dopiero po latach wydają owoce. Czasem piękne i świeże, a czasem nieco przewiędłe...

Balet Very Nemtchynowej, bardzo reklamowany, jakoby duchowy spadkobierca baletu Djagelewa, nic a nic nowego ani ciekawego nie przynosi. Oklaskują go jednak, podobnie jak i Pauleywitcha i jego dwóch gentlemanów z Cirque d'Hiver, którzy zapomocą małych instrumentów na ustach swych (przypięte wąsy też do tych instrumentów należą), wygrywają zabawne melodje, a trzy głośniki firmy Ampliphonaubert roznoszą je do każdego zakątka sali.

Oczywista, że Syndykat futrzarzy popisać się pragnie swemi wyrobami. Manekiny lansują nową modę, a z niej widzimy, że suknie mają być tak długie, iż ledwie w nich chodzić można, futra zaś tak krótkie, że nic nie grzeją. Coprawda, zbliżamy się do lata... Przyznać też należy, iż każda moda posiada jakąś wobec kobiety zasługę: wczorajsza odmładzała ją i rozweselała, dzisiejsza wyszczupla i uwykwintnia. Wśród wielu kombinacyj nie widzieliśmy tak śmiałych a tak nieskomplikowanych połączeń, jak w rewji w Casino de Paris.

Tylko futro, tylko róża...

Po tomboli zaczyna się właściwy bal. Najwyższy czas, bo już druga. Bal jest chłodny, znużony.

Teraz znów wydaje mi się, że jedynie czasem, w sennym rytmie walca ożywiają się ci tancerze, co tak powoli, systematycznie, z namaszczeniem kreślą na posadzce z trudem wyuczone pas Slow-Foxa.

Przy bufecie niektórzy piją oranżadę, inni zaś zasiadają do stolików dla szampana. Przegryzają go sandwiczami.

Większość publiczności zabiera się do odejścia. Nowa po wspaniałych schodach defilada. Już bez asysty gwardji republikańskiej, a zato w asyście — róż, które zdobiły loże. Kobiety opierają się na łodygach — swego wzrostu i w cieniu kwiatów szukają schronienia dla swoich zmęczonych twarzy.

Chasseur rzuca się, proponując taxi i prosząc wychodzące damy o odstąpienie mu prezentu, jaki wzamian za kupienie afisza dostały. Jeśli prezentem tym jest cocktail Cherry Rocher.

Ale go nie dostanie. Cocktail niesie się do domu, dla niegrzecznych za karę tam pozostawionych dzieci.

Paryż dotąd jeszcze szatańswa się swego nie wyrzekł.

AURELJA WYLEŻYŃSKA

ALFONSINA STORNI

ZWODNICZA GRA

Jestem twoją. Tak los chciał. Widzę jasno koniec:
odejdziesz obojętny dzisiaj, jutro może...
Pęta cię urok oczu, lecz w twem sercu gorze
moc większa — pożądania. Lecz już się nie bronię.

Wszystkiemu kres położy ten, czy inny ranek;
wszak każda myśl twa jasne dla mnie znaczy piętno.
Rozmawiam o kobietach z twarzą obojętną,
nawet wychwalam którąś z poprzednich kochanek.

Nie czujesz, jak wiesz mało, zaślepiony, w dumie
z tego, że mnie posiadłeś i trwasz przy grze dalej,
jak aktor, który rolę napamięć już umie.

Milcząc patrzę na ciebie i z uśmiechem jasnym
myślę, że zbyt cię słowa ponoszą w zapale;
przecież nie ty mnie zwodzisz, zwiódł mnie — sen mój własny.

Przełożył S. ESSMANOWSKI

ŻUBRY I PARK NARODOWY W BIAŁOWIEŻY

2)

INTERESUJĄCĄ jest również w Białowieży roślinność, dostosowana do — wymagań przyrody. Rośliny zielne, żyjące w cieniu drzew, tak mądrze tu „obmyślają" swój konieczny czas kwitnienia na słońcu, że okrywają się kwieciem bardzo wczesną wiosną, zanim jeszcze drzewa liściaste, a przedewszystkiem graby, gęsty cień rzucające, nie pokryją się silnym liściem. Jakże przezorna jest ta mnogość roślin, i, ileż to myśli w każdem ich „mdłem kwieciu"... A ktoś, kto spojrzy na ten kobierzec ziemi, nawet nie zada sobie trudu, aby porządnie odróżnić goryczkę od mieczyków, lilję złotogłów lub koniczynę łubinowatą od kosaćca syberyjskiego, a nawet astra leśnego. Pomyśli może, że gdzieś tam czytał coś o tych roślinach w botanice lub nudnym wierszu, pełnym głupich przenośni, i zdepcze pod stopami zielone życie, nieskalaną piękność i muzykę kolorów...



Wilczki, złapane w Białowieży

I szumi ta królewska Puszcza Białowieska, i spowiada człowiekowi mądrości prawieczne, i tylko w tej mowie cudownej mieści się dzisiaj głębina nieprzebranych tajemnic ducha. Przemierzyć i teraz niełatwo, a cóż dopiero wniknąć w przebrzmiałe echa i podsłuchać w nich, — jako tam drzewiej bywało.

Na niedostępnej kępie, którą dziś ochrzczono oddziałem 562, ze wszech stron otoczonej bagnistą glibielą, czernią się wysokopienne sosny na 15-hektarowym terenie. Ten ostęp zwie się Czarnym Nikorem. Patrzy w świat, dumną ścianą jodeł zawalony, a pod jego korzeniami przeciągają źródlane żyły rzek i strumyków puszczańskich, od wieków do dnia dzisiejszego, jakby w międzyczasie nic się nie zmieniło. To miejsce badań przyrodników, jedynie dziś na wschód wysunięte stanowisko jodły, tak odrębne zresztą od całej Białowieży; jak powstało — niewiadomo. Zakątek ów jest z natury rezerwatem, trudno bowiem dosięgnąć go przez bagna; Czarny Nikor wie o tem dobrze i obojętnie duma czy go takim nazwą i uznają w książkach.



Zubrzyca „Swea" z trzydniowym byczkiem — *Fot. inż. J. J. Karpiński*

Bo ludziska z Białowieży projektują i tworzą inne rezerwaty i półrezerwaty w puszczy, czy to przy szosie Hajnowskiej, czy Prużańskiej, aby tylko uzupełnić zwiedzającym piękny obraz natury.

Jest w tej głębinie borów białowieskich jakaś kusząca moc, aby przymknąć oczy choć na chwilę, dać się porwać myślom w uroczyska i napoić wyobraźnię mirażem dalekości i odległości. Ostały się nam jeszcze z onych czasów szczątki murów myśliwskiego zamku Giedymina, — biała wieżyczka, imienniczka puszczy w rezerwacie historycznym (oddział 251). Może, gdyby tak poszukać w ziemi za różdżką czarodziejską, znalazłoby się w półrezerwacie, przy szosie Hajnowskiej, pod Górą Batorego, złoty róg myśliwski „niemalowanego króla" Stefana, który tu kazał rozbijać namioty, ilekroć przybywał na łowy.

Cóż nam pozostało z tej skarbnicy przeszłych epok? Jaką naukę zdobyć z doświadczeń wiedzy i tajemnic przemijania? Jakże rozpamiętywać to miejsce, którego tylko niezniszczalne prawo rozmiaru i przestrzeni uchowało od smutniejszych kolei losu innych arcydzieł natury, zagubionych dziś i na proch unicestwionych? Jaką myślą błogosławić pamiątkę białowieskiej puszczy i iluż ludziom w narodzie ukazać w niej przykład tężyzny, wytrwania i oparcia się rozkładowi? Za wielka była ta prastara stolica drzewnych istot, by się z rąk wymknęła, jak igła, za piękna, aby się dała zniszczyć! A przecież i ją czas dotknął zębem swoim, choć skruszyć jakoś nie mógł...

Niby dziecko, pokorne, a grzeczne, staje człowiek wobec mocarnych olbrzymów drzewnych, dźwigających na ramionach chmury podniebne, uśmiecha się kłopotliwie i odchodzi znów do zwierzyńca żubrów, aby sobie z niemi porozmawiać o dziwacznych wspólnościach losów:

— Hej! „Borus", „Biskaja", „Stolce" i „Swea"!...

A żubry wodzą swemi rudemi, grzywiastemi brodami po pastewniku, jakby łbem przytakiwały, nie do słów ludzkich, lecz do wtóru koron drzew, które kołyszą się, szumią i wołają coś głośno w powietrzu nad milczącą ziemią.

JANUSZ STĘPOWSKI

P. S. — Nakoniec z radosną nowiną muszę się podzielić z Czytelniczkami mej białowieskiej gawędy. W międzyczasie „Swea", dzielna zubrzyca, dobra znajoma z Nru 24, której imię wymieniłem z należną powagą na str. 557 — została szczęśliwą matką maleńkiego żubrzątka płci męskiej. Czworonogie „niemowlę" nie długo uczyło się mówić. Ledwie przyszło na świat 23 listopada, już beczeć poczęło w sposób rozczulający i wymowny. Dowodzi to obok jego daru elokwencji również siły i zdrowia. Można powiedzieć, że żubrzątko doskonale zapowiada się na przyszłość i z każdym dniem rośnie jak na drożdżach; ujmującym swym wyglądem zdobyło sobie już serca wszystkich widzów ciekawych, nie wyłączając ukoronowanych drzew Puszczy Białowieskiej. Matka „Swea" jest z tego powodu wielce dumna a ojciec „Borus" przyjmuje od ludzi wyrazy podziwu i gratulacji na pewno z wzruszeniem, chociaż macha niby to odniechcenia ogonem.

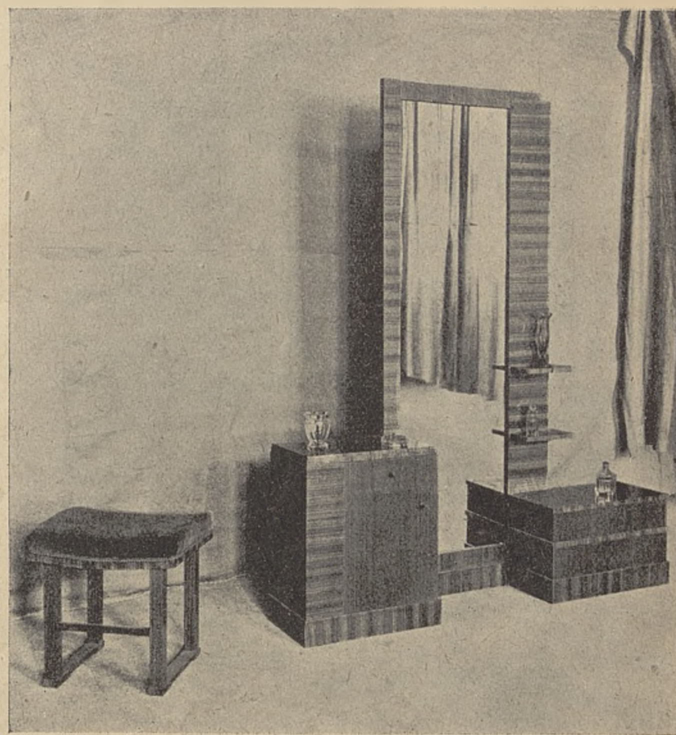
Ale mówiąc serjo, narodziny żubrzątka są istotnie światowym fenomenem i dowodzą o dobrej hodowli żubrów w zwierzyńcu białowieskim, bo proszę pomyśleć — na kuli ziemskiej od 1928 r. przybyły do tąd do wymierającego żubrostanu zaledwie tylko dwie sztuki czystej krwi. Obecnie, licząc z potomkiem „Swei" i „Borusa", jest tylko 61 żubrów na świecie.

Nic dziwnego, że „Swea" jest szczęśliwa, a „Borus" zarozumiały.

MÓJ STOLARZ, MÓJ STÓŁ I JA



MAM stolarza. Mogę go nawet polecić osobom cierpliwym i wyrozumiałym. Jest stolarzem z urodzenia, z zamiłowania, z talentu — powiedziałabym nawet — z maniackiego uporu. Bo właściwie z zawodu jest tapicerem. Mógłby zarabiać nieźle jako pomocnik w pracowni tapicerskiej. Ale nie chce. Rozmiłował się w drewnie, nagle, przypadkiem i z pasją. Jakim cudem doszedł do różnych kunsztów i arkanów starego meblarstwa, wie chyba on sam i te umęczone stoły i stołki na których się ćwiczył.



Dziś, mój stolarz (zwany u nas potocznie i czule „skrobideską") jest mistrzem w odnawianiu antyków. Tapicerstwem para się przygodnie i z niechęcią a stolarkę uprawia z namiętnością, zapamiętując się nad każdym drobiazgiem. To też przymiera głodem z żoną i dzieckiem, gdyż długotrwałość precyzyjnego wykonania nie stoi w żadnym stosunku do zarobków a zarobki do kosztów utrzymania.

Gdyby nie to, że Burgundja leży dość daleko od lwowskiej Bogdanówki i gdyby nie inne zasadnicze różnice, nie wahałabym się wywieść mego skrobideskę w prostej linji od wspaniałego Colas'a Breugnon'a, stolarza, którego do chrztu trzymał Romain Rolland. Mają wspólne rysy — umiłowanie swej sztuki i — gadatliwość zaprawioną filozofją. Tylko Colas Breugnon choć mistrz i znawca jest pokorny i milknący wobec piękna. A mój stolarz jest nieznośnie poufały, chwalący, ganiący z niewzruszoną pewnością. Przytem tkwi z uporem w przeszłości a teraźniejszość ma za ba i bardzo.

Przed miesiącem przyszedł oglądnąć mój stół. Właściwie — suche określenie „mój stół" nie jest odpowiednie. Jest to najpoczciwszy domownik, staruszek zmęczony wierną wysługą. Kiwa się na trójramiennej lirze i trójkątnej podstawie, między empirem i biedermeierem już przeszło sto lat. Przykrywam go starannie, aby ukryć wszystkie szczerby i rysy, ale i tak widać. Trzeba go odnowić. W tym celu przyszedł stolarz. Pukał, stukał, obracał, węszył nieledwie i orzekł: trzeba będzie odnowić.

Ja: Wiem, ale jak? Przytem, ile to będzie kosztowało i kiedy będzie gotowe.

On: Jak odnowić, to już moja głowa w tem. A no, fornir trzeba dać nowy, tu i tu, zresztą co będę gadał po próżnicy. Trza odnowić tak, aby było porządnie a na stary sposób. Szkoda takiego kawałka. To nie dzisiejszy. Wedle ceny to niżej setki ani ni, ni. Nima prawa. A gotowe będzie, jak się zrobi.

Po niejakiej deliberacji na temat ceny i terminu bliżej określonego, skrobideska zażądał mokrej szmaty i gorącego żelazka. Musi odparzyć jeden płat fornieru, aby dobrać taki sam. I podczas, gdy staruszek stół stękał a para syczała — zaczęliśmy ciekawą rozmowę — mój stolarz i ja.

Ja: Gdy stół będzie gotowy, zrobi mi pan dwa krzesła.

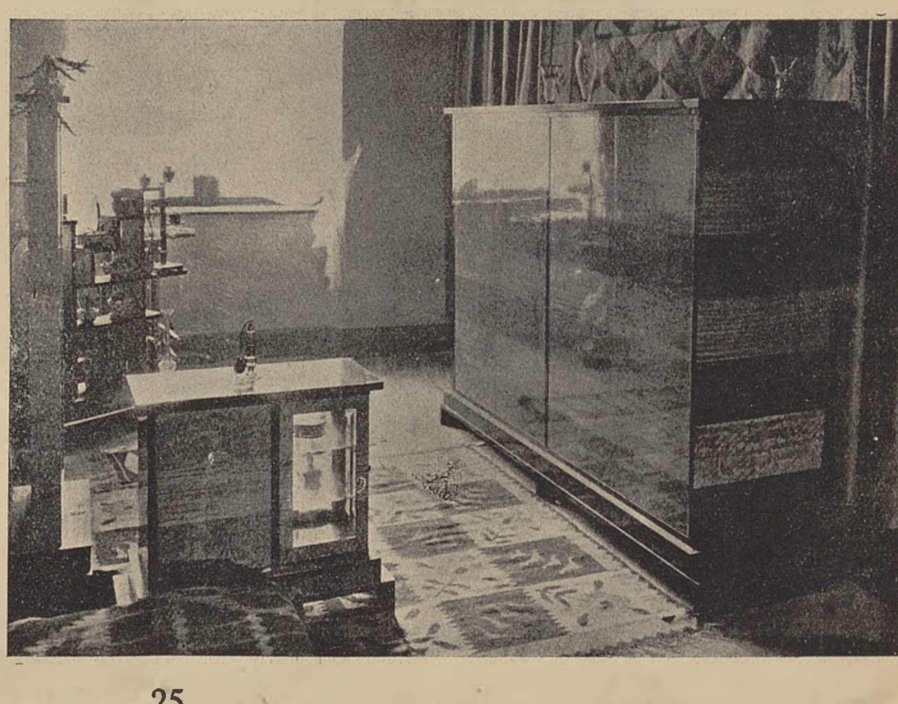
On (zaciekawiony): Może taki Ludwik XVI, jak ta serwantka?

Ja: Nie, coś całkiem nowoczesnego. Rodzaj zydli bez oparcia, łatwych do przenoszenia, prostych i lekkich.

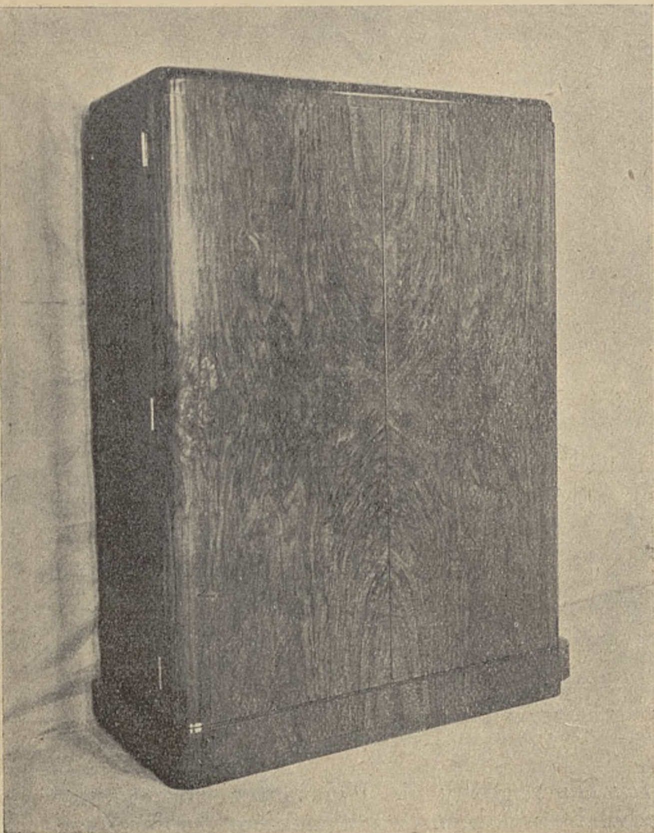
On (z oburzeniem): Nowoczesnego — i pani dobrodzika postawiłaby przy tych fotelach biedermeierach?

Ja: Dlaczegóżby nie. Uważam, że sprzęt nowoczesny ma wiele podobieństwa z meblem biedermeier. Tkwi to w samem założeniu. Niech pan pomyśli. Epoka „biedermeier" stworzyła wnętrze dla człowieka nowego, porewolucyjnego, który wyszedł z mieszczaństwa. Style królewskie były obce jego pojęciom i wymaganiom, nie nadawały się do domowego zacisza ludzi średniej zamożności. Stworzył więc styl własny, dał początek meblom osobistym, indywidualnym, wygodnym i pięknym w swej szlachetnej prostocie.

A dziś, jest znowu nowa epoka, człowieka powojennego, który został nagle i brutalnie rzucony w wir nowych pojęć. Nie może powrócić do fałszerstwa stylu, jak się to działo w okresie neoklasycyzmu, neobaroku i t. d. Ani nie chce tkwić w ciasnocie szablonu. Tworzy nowy styl, swój własny i stać go na to. Tworzy nowy sprzęt praktyczny, wygodny i higjeniczny.



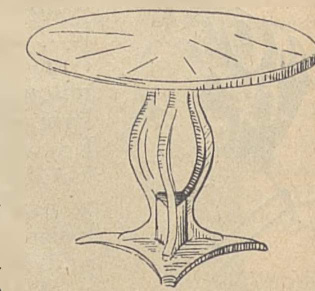
On (zły): A widziałem, widziałem w jesieni aż dwie wystawy mebli w Muzeum Przemysłowem. Może to



i nowy styl te paki, któreby i kowal zbić potrafił. Ale może pani dobrodzika mi powie, czy jest higjeniczne takie łóżko ze szafą, razem w kupie. Albo, czy praktyczny jest taki długi bufet, do którego trzeba dorabiać specjalny pokój. Jeden cały bok był szklany — aby było co tłuc. A czy wygodny jest taki tapczan ze szafką nocną w jednym kawałku. Z boku sterczy mu kanciasta półeczka. Naco, poco? Aby wybić oko, gdy się człek w nocy obróci?

Że to jest nowe, to pewne, ale żeby było lepsze i wygodniejsze od starego, to tego niech mi nikt nie wmawia.

Ja (trochę zaskoczona): Nikt panu tego nie wmawia. Być może niektóre pomysły są mało udatne a nawet przesadne. Takie zjawisko towarzyszy często nowym poczynaniom w każdej dziedzinie twórczej. Ale wracając do poprzedniego porównania. Przyzna pan chyba, że pod względem szczerości i prostoty w stosowaniu drzewa meblarstwo dzisiejsze może się równać z „biedermeierem".



On: Co ja tam wim, głupi stolarz. Jak byłem na tej pierwszej wystawie, pytam się takiego co objaśniał — co to za drzewo. Bo mi się podobało a nie mogłem tak zrazu rozeznać. On powiada: „ptasie oko". I w katalogu stoi tak samo napisane. Ja jak żyję nie słyszał o takiem drzewie. O cięciu, fladrze tak, ale o drzewie! Albo i to „zebrano", a orzech kaukaski, a róża afrykańska. Ja wiem, był nasz orzech, grusza, czereśnia, klon, jawor, jasion, wszystko tanie, trwałe i piękne.

Ja: Trudno, musi być jakaś odmiana. To jednak musi pan już przyznać, że pod względem konstrukcyjnym są meble dzisiejsze doskonałe. Są proste, gładkie, bez niepotrzebnych ozdób i co najważniejsze — są wolne od naśladownictwa.

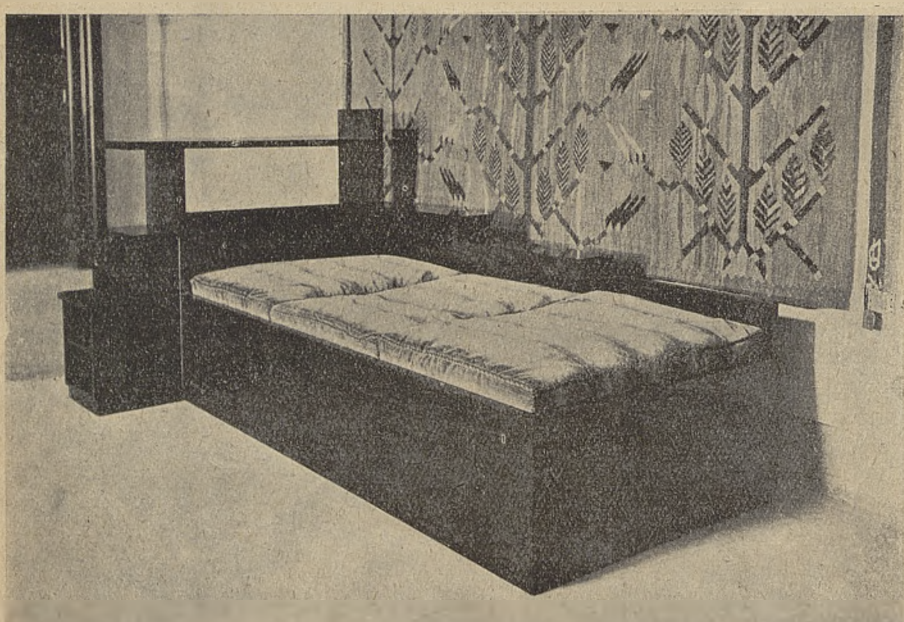
On (odklejając dymiący płat fornieru): Ta cóż z tego? Możeby i lepiej było, żeby naśladowały bodaj trocha coś naszego. Tak się człek wśród nich obraca jak w szpitalu albo gdzie u Niemców.

Już skończyłem. Jak znajdę fornir, to przyjdę po stół. A wedle tych krzeseł, to może pani dobrodzika namyśli się do Ludwika XVI.

Poszedł. A ja zostałam w rozterce. Myślałam: istotnie, w tem co mówił stolarz, jest część prawdy. Tworzenie nowości „ad hoc" bez potrzeby, bez wewnętrznego wyrazu — chybia celu. Odrzucenie szablonu dawnego jedynie poto, aby zastąpić go szablonem nowym, obcym, wzorowanym na meblach niemieckich tworzonych dla powojennych snobów tkniętych manją ultrawspółczesności — jest co najmniej bezsensowne. Zdrowy rozsądek człowieka patrzącego na mebel z punktu widzenia utylitarności a z pewnem uprzedzeniem do nowej formy — odkrywa zazwyczaj więcej stron złych jak dobrych. I wykazuje bystro, że wartości dawne nie zostały zastąpione dotychczas żadnemi wyższemi ani pod względem piękna ani wygody. Że chcąc aby nowa forma przemówiła do ogółu i przyjęła się, należałoby nawiązać nić tradycji z meblarstwem dawnem. Połączenie doskonałej konstrukcji mebla dawnego z prostą formą dzisiejszą byłoby idealnem rozwiązaniem problemu nowego sprzętu. Wówczas może, pokazy mebli zmusiłyby ogół do większego zainteresowania sprzętem domowym. Wtedy stół, krzesło, kanapa i t. d. zostaną wreszcie uznane przez panią domu jako mili i swoi domownicy. Wtedy kształt i linja sprzętu nie będzie rzeczą przypadku, narzuconą przez handlarza. Wtedy sprzęt, jako codzienny świadek naszego życia, wróci do dawnej godności rzeczy obmyślanej, wykonanej z artyzmem i miłością.

Wtedy, wtedy, wtedy — tymczasem mój stolarz jak poszedł miesiąc temu z fornierem i zadatkiem, tak do dzisiaj nie wrócił. Ale ja się nie namyślę „do tego Ludwika XVI".

JANINA OSIŃSKA



Przyp.: Zdjęcia fotograficzne mebli z wystaw Miejskiego Muzeum Przemysłu Artystycznego we Lwowie, urządzanych staraniem kustosza Henryka Cieśli.

W KRAINIE MANEKINÓW

W ostatniej chwili, już prawie przed odjazdem pociągu, który miał mnie na kilka dni odwieźć od Paryża, przypomniałem sobie, że nie mam nic do czytania. Wyskoczyłem z wagonu i na taczce z kółkami (na podobnych taczkach sprzedają też na dworcach paryskich jedzenie) kupiłem pierwszą lepszą książkę w żółtej okładce. Tytuł jej: „Au Pays des Mannequins", Le roman de la robe.

Damska to lektura i dobrze, że nie miałem towarzyszki podróży, każdaby prosiła, żeby dać jej przejrzeć... Wówczas ani ona, ani ja książki byśmy tej nie czytali... Miałem jedynie towarzysza, który „wgryzał się" w wieczorne wydanie „Intransigeant".

Rzecz nieznanego mi autora Louis Roubaud okazała się nietylko zajmująca, ale nadająca się do czytania, — dla najpoważniejszego mężczyzny, mówi o powstaniu krańcowo modnej sukni, nie mając nic z lekkomyślności jej noszenia. Opowiada, jak wielkie firmy tworzą modele, które na rewji manekinów światu demonstrują i puszczają w obieg, sprzedając pośrednikom, przedstawicielom wielkich zagranicznych firm, albo też jakiejś — bogatej — osobie, nabywającej go na wyłączną własność.

Zanim model powstanie, od chwili pomyślenia do wykonania, droga jest długa. Życie modelu zaczyna się nierzadko na poddaszu, a zawsze kończy w salonie. Rysownicy żyć winni w zamknięciu i od ulicy oderwani. Nie wolno chodzić na wyścigi, nie poleconym jest im teatr. Dziś przenieśliby na papier modę wczorajszą, a mają obmyślać jutrzejszą. Jedynie szkic zaczerpnięty z nie istniejących jeszcze form może mieć nadzieję pochwały.

Ożywi go — modelistka, osoba, na której wedle pomysłu artysty wykrojoną formę z płótna pierwsza w atelier panna, la première, upina. Wówczas czyni poprawki i wybiera materjał najbardziej nadający się na tę właśnie kreację. „Wielkie klientki", na zamówienie których wykonuje się suknie, w podziemiach magazynu posiadają swoje — formy — moules, z waty. Wisi w szafie, pani taka i taka, bez głowy, ale ze wszystkiemi swemi defektami, krawiec wiedzieć musi, czego jej brakuje, albo czego posiada za wiele, aby móc błędy natury usunąć talentem swym, odpowiednio wybranym fasonem i materjałem.

Gdy suknia jest uszyta, chrzci się ją stosownie do celu, koloru, charakteru. Czasem przypadek nadaje jej nazwę najmniej odpowiednią, jak w życiu...

Suknia już jest! Trzeba ją sprzedać, tem zajmują się specjalnie uzdolnione kobiety, posiadające dar wymowy, sugestję — nie żałują w czynność tę włożyć całego swego genjuszu, nagroda bowiem równa się wysiłkowi — biorą wielki procent od sprzedanych modeli. Im robotnicy lepiej pracują, tem vendeuses większe pobierają zyski...

Dziś cały ten proceder, od szkicu do sprzedania, wydaje się prosty, ale ktoś musiał wpaść na ten pomysł. Stało się to stosunkowo bardzo niedawno. Historja zaczyna się od roku 1846, od Karola Ferdynanda Wortha, młodego Anglika, który sprzedając materjał w podrzędnym magazynie, wykombinował, aby razem z nim damom dawać odpowiedni fason sukni.

Przyszła rewolucja i wiele ich jeszcze było, ale żadna nie przeszkodziła wielkiemu wynalazkowi iść swoją drogą. Do Londynu, na wystawę roku 1851, posłał Worth kilka modeli; na wystawie w Paryżu, w roku 1855, cesarzowa Eugenja nosiła jego kreację, suknię z wiśniowego aksamitu, pokrytą koronką d'Alençon. Zaraz potem skromny subjekt zajął 5 piętro domu pod numerem 7, na ulicy de la Paix, gdzie dotąd wnuk jego króluje, choć wielu z poddanych tej firmy samodzielnie pracując na Champs Elysées, podbijają cywilizowany świat dla francuskiej kultury krawieckiej.

Dotąd Worth ubiera dwory i ubierać pewno będzie, póki dwory będą istniały. Grandes toilettes są specjalnością tej maison, fantazję zaś i swobodę — precz z kołnierzem i gorsetem, kolory brać z nieba i ziemi! — reprezentował długo jedynie Pierre Poiret, artysta malarz, gdy jego wielki poprzednik był przedewszystkiem rzeźbiarzem i twórcą surowych i pompatycznych figur.

A rola manekina? Bardzo dziwna. Na rewji mód wciąż zmienia suknie, wciąż inaczej się nazywa: Blask, Wiosna, Rajski Ptak, Ty i ja, Traviata, Zazdrość, Nad brzegiem jeziora. Noszą je jakby swoje, pamiętając jednak: „Ta suknia nie jest moją".

Czy to tak bardzo tragiczne? Gdy tyle oczu widzi, tyle rąk z zachwytem oklaskuje, suknia staje się prawie własnością osoby, która ją włożyła.

Myślę, że każda kobieta, gdyby można było kilka razy żyć, chciałaby raz być manekinem. Co do mnie, po przeczytaniu tej ciekawej książki, bardzo chętnie widziałbym obok siebie, jako towarzyszkę dalszej podróży — żywego manekina, np. od Tollmanna. Myślę, że przecież nie żądałaby, żebym jej kupił jedną z sukien, którą nosić będzie na zimowym pokazie modeli. Jeśli kobiety nigdy nie jestem pewny, to mogę być pewny — siebie. Nawet gdyby mi vendeuse zrobiła dziennikarską cenę. Nie zachęci mnie zdanie autora: „Suknię, jak szczęście, niekiedy nabyć można poniżej jej ceny".

ZYGMUNT PRZERĘBSKI (Paryż)



Suknia z czarnego tiulu, przybrana czarnemi aksamitkami. Naramienniki i klamra przy pasku z turkusów *Model firmy: Tollmann*



Suknia z crêpe satin w kolorze różowym *Model firmy: Tollmann*

MIŁOŚĆ KOBIETY

1

HARRY zapukał, wszedł, powiedział w roztargnieniu: „Dzień dobry, najdroższa", pocałował ją w czoło, i zasiadłszy w fotelu przy jej łóżku, dorzucił po chwili:

— Muszę uciekać.

Była to normalna, codzienna, powszednia rutyna. Już od dwu lat Molly pijała śniadanie w łóżku, bo to skróca dzień. Jeżeli dr Harry Simpkin miał zupełnie zbyteczne wizyty do złożenia swym hipochondrycznym pacjentom, to dla jego żony ranek rozciągał się ponuro i posępnie, niby Cromwell Road w niedzielę. Przed dwoma laty działo się zgoła inaczej. Wówczas jeszcze Harry borykał się z życiem, więc Molly, mniej więcej o wpół do siódmej rano, w koronkowym czepeczku na głowie, doglądała, by mu dziewczęta na czas przyszykowały śniadanie, by stróż zaprzągł mu klacz; wówczas byli ubodzy i żona dzielnie walczyła przy ramieniu męża; wówczas wój Robert żył jeszcze; wówczas na dobrydzień całowali się zawsze w usta.

Teraz pomocnik Harry'ego, sprytny młody Welch, zajmował się wszystkimi, którzy byli prawdziwie chorzy; ogromny zaś samochód Harryego (no tak: wuj Robert zostawił im ponad cztery tysiące funtów rocznej renty) woził go jedynie do tych, co mieli czas i bogactwo do pielęgnowania urojonych cierpień. Teraz, wspaniale ubrany (jego wydatki na praczkę byłyby ongi wystarczyły na utrzymanie całego domu przez tydzień), Harry składał pacjentom wizyty (za które zawsze zapominał lub się wstydził brać honorarjów), grał w golfa, tennisa i brydża, polował, uprawiał rybołóstwo i z dnia na dzień wyglądał coraz młodziej.

Molly wytresowała wszystkie cztery służące. Tryb domowy toczył się samoistnie. Nie musiała już nawet nadzorować, nie mówiąc o gotowaniu, szyciu czy cerowaniu.

Dnie stały się rozciągliwe. Wydawało się, że jest wciąż jedenasta — ta najrozpaczliwsza godzina przedobiednia — albo trzecia — ta popołudniowa wieczystość.

— Miałam wiadomości od Hildy, — zauważyła, biorąc kopertę z ruchomego stolika przy łóżku. — Nareszcie dostała swój rozwód. Biedaczka, sporo się z tego powodu nacierpiała. Chciałabym móc jej dopomóc. Zawszem ją lubiła.

— Co teraz pocznie?

— Nie pisze o tem. Wydaje się być w rozterce. Czyby ci było przykro, jeżeliby do nas przyjechała?

— Ani trochę.

— No to ją zaproszę.

Harry w zamyśleniu dobył zegarka. Była dziesiąta. Coprawda, nie zrobiłoby mu różnicy, choćby była dziewiąta czy jedenasta, jednakże powiedział z miną zatroskaną:

— Dziesiąta! Tak, muszę uciekać.

Znów pocałował ją w czoło i wyszedł pośpiesznie.

Leniwie się kąpiąc, Molly w duchu litowała się nad małą Hildą Gordon. Była to jej krewna — jakaś tam kuzynka; razem chodziły do szkoły. Dziwna, roztropna, wytworna mała Hilda! Molly przypomniała sobie z uśmiechem, leżąc nawznak w gorącej kąpieli, jakiego stracha napędziła jej Hilda w ostatniej klasie szkolnej. Obie były „celujące", ale Molly, starsza od Hildy, wzięła na kieł, że ukończy szkołę jako prymuska. A nagle oczarował ją Szopen. Spędzała całe godziny przy pianinie, gdy tymczasem Hilda podstępnie „kuła". Semestralne egzaminy dały Molly wstrząs nielada. Hilda ją pobiła. Wszelakoż Molly się zawzięła i ukończyła szkołę mimo wszystko jako prymuska —ale z lekką urazą w sercu. Hilda postąpiła niezupełnie uczciwie. Było to „jakoś nie tego". Molly się uśmiechnęła na to wspomnienie i wytarła się gąbką. Jakie to wszystko odległe. Ile zmian przez te dziesięć lat (Hilda ma obecnie dwoje dzieci (zwalonych w danej chwili na kark jej matki) i rozwiodła się z mężem; Molly zaś dowiedziała się, że życie jest porządnym młynem, a miłość bańką mydlaną. Dziesięć lat starzenia się i rozczarowań!

O STRASZLIWEJ godzinie jedenastej Molly zeszła na parter. Wszystko w jak największym porządku. Żadnych zaniedbań. Nie dało się zauważyć żadnej pomyłki, nikomu nie należało udzielić nagany. Kucharka wykonała obstalowane menu w sposób, nie wymagający poprawek. Molly westchnęła i rozłożyła potrzaskujący dziennik. O dwunastej przypomniała sobie Hildę i, zamiast nudnego pisania listu, ujęła słuchawkę telefonu.

Ozwał się głos Hildy i wprawił ją w podniecenie. Odrazu poczuła się młodszą — młodszą o lat dziesięć.

— Wszystko jak najgorzej, — wzdychała Hilda, której matka w podobnych okolicznościach zażyłaby bromu i położyła się do łóżka.

— Zapraszamy cię do siebie. Mogłabyś przyjechać już dzisiaj? Zmiana z pewnością zrobi ci dobrze.

Tak tedy około szóstej Hilda Gordon przyjechała. W tulipanowym saloniku, przystrojonym w kwiaty, na których cześć był ochrzczony, — rozsiadła się na swej walizce, wisielczo pykając papierosa i mówiąc dosadnie, co myśli o mężczyznach wogóle, o Ryszardzie zaś Gordonie w szczególności.

— Wszyscy oni jednakowi, moja droga Molly. Nie są oni naprawdę cywilizowani. W głębi serca to dzikusy, poganie, wielożeńcy. Skoro tylko pryśnie urok nowości, wszystko djabli biorą.

Hilda wstała i poczęła rozpakowywać walizkę. Garderoba przyjaciółki wprawiła Molly w zdumienie.

— Moja najdroższa Hildo, mam nadzieję, że nie myślisz, iż znajdziesz tu coś w rodzaju Monte Carlo i Ritz'a jednocześnie! — zawołała. — Nasza skromna Fontaine jest nudna jak flaki z olejem, a ludziska przeważnie są staremi pudłami.

— Miejsce ani ludzie mię nie obchodzą, — odparła Hilda. — Ubieram się dla własnego spokoju ducha. Ładne stroje — to moja broń przeciw Czasowi. Ubieraj się jak staruszka, a staruszką będziesz.

— Ha, w dwudziestym ósmym roku życia trudno być podlotkiem! — zaśmiała się Molly, wewnętrznie dotknięta. Widocznie Hilda ma ją za bardzo tępą, jeśli przypuszcza, iż taki przytyk minie niezauważony.

— W dwudziestym ósmym roku życia jest się dziś bardzo, bardzo młodą, — rzekła Hilda uroczyście. — Prawdziwe życie zaczyna się teraz w punkcie, w którym kończyło się niegdyś. „Odtąd zawsze żyli szczęśliwie" — oto dziś pierwsze zdanie pierwszego rozdziału kilkuset-stronicowych powieści, pełnych zamętu i intryg. Jak się miewa dr Harry?

— Dziękuję paniusi, dobrze, — pisnęła Molly, naśladując starą wieśniaczkę. — W zaprasowanych spodniach, w nieskazitelnych lakierkach, z dwoma czystemi kołnierzykami dziennie i czterema wyszukanemi posiłkami, miewa się wcale nieźle. No a twoje dziatki Hildo?

— Kiedy was widziałam po raz ostatni, byliście w sobie rozpaczliwie zakochani, — rzekła Hilda, czyniąc zadość swej wybitnie kobiecej skłonności do przeplatania rozmowy dwoma wątkami. — O, mają się zupełnie dobrze, i nie dziw — w tym wieku! Mama przepada za dziećmi. Harry wygląda, jakby się od waszego ślubu nie postarzał ani o jeden dzień.

— Twoja Hatty jest przemiła, — powiedziała Molly ziewając i podnosząc się z fotelu. — Zazdroszczę ci twych dzieci. Zawsze się spodziewałam...

— A Harry nie chciał? To jest chciałam powiedzieć: Harry nie chce?

Molly wzruszyła ramionami.

— Harry bardzo lubi dzieci. O Jezu, jak już późno. Zadzwoń i każ sobie podać, co zechcesz. Muszę pójść się przyogarnąć.

WSZELAKOŻ nie przyogarnęła się. Przypomniała sobie o jakichś długo odwlekanych ale nieodzownych listach i zasiadła do ich pisania, poczem jęła pakować stare ubrania, które oddawna przyrzekła posłać będącej w trudnych warunkach finansowych siostrze.

— Na widok starych ubrań Molly, — zauważyła pogardliwie także siostra, gdy wreszcie paczka nadeszła i leżała przed nią z rozdartemi wnętrznościami, — strach na wróble zapragnąłby mieć nos, by go móc odwrócić od nich.

Ubieranie się wydawało się Molly rzeczą tak najzupełniej zbyteczną. Zawiniła tu jej matka, zacięta sufrażystka. Stroje — mawiała — to więzy, narzucone kobiecie przez męski egoizm. Sama nosiła tkane w domu worki. W każdym razie wyglądało to na worki. Molly ubierała się schludnie i starannie w czasach, gdy należało dbać o praktykę Harry'ego, o zdanie jego pacjentów i znajomych. Ale teraz wygląd jej nie miał już znaczenia. Borykała się więc z paczką, aż się rozległ gong; wtedy umyła się szybko i zeszła nadół.

Harry i Hilda oczekiwali na nią w palarni.

— Przyrządził cock-tail, — zawołała Hilda ze swego siedzenia na poręczy fotelu, — i to tęgi!

Jej strój, skondensowany do rzeczy najniezbędniejszych, był różowy, oblegający i tajemniczo, uwodzicielsko przejrzysty. Przód sukni przetykany był, jak to Molly z szyderstwem zanotowała, ametystowemi wstążeczkami; ametystowe zaś pończoszki były z najczystszego, połyskliwego jedwabiu.

Molly zadała sobie w duchu pytanie, co pięknie ułożone pokojówki pomyślą o swobodnej gadaninie Hildy, wnosząc potrawy z nieruchomym, wytresowanym wyrazem twarzy. Następnie Hilda łupała orzeszki i wrzucała je Harry'emu do szklanki z winem.

Później Hilda śpiewała urywki z „Opery żebraków", które się Molly wydały cokolwiek niestosowne, a jeszcze później zażądała whisky z wodą sodową.

Wieczór majowy był chłodny i w pokoju Hildy drwa płonęły na kominku. Hilda przybrała złoto-czarne kimono i karbowała sobie loczki, podczas gdy Molly wyciągnięta w szezlongu, gwarzyła o dawnych dziejach. W pewnej chwili usłyszały kroki Harry'ego na schodach i w kurytarzu.

— Molly jest tu. — Proszę wejść! — krzyknęła Hilda.

We trójkę gawędzili sobie z pół godziny, poczem Molly niepostrzeżenie, sennie i błogo wypadła z konwersacji.

O północy oddała Harry'emu na progu dobranoc.

— Ta umie wziąć się do człowieka! — śmiał się.

Molly roześmiała się także, rzekła: — Tak, na odwadze jej nie zbywa, — dała mu czoło do pocałowania, rzuciła: — Śpij dobrze, — i zamknęła się w swym pokoju.

— Że też ma ochotę tak się stroić dla nas! — rozmyślała z ziewaniem, ściągając pończochę. — Prawdopodobnie czyni to dla praktyki — chce powtórnie wyjść zamąż.

2

SZCZERZE mówiąc, Molly była leniwa. Przestała grać w tennisa. Harry grał tak dużo i z takiem przejęciem, iż czuła, że mu tylko psuje zabawę. Brydż jest trudny, przytem najmilsi nawet ludzie nie lubią, gdy w środku gry zapytać ich nagle, co to jest karo, a co pik. Golf wymaga za dużo biegania. Łowów nienawidziła. Toteż naogół Simpkinowie mało się w ciągu dnia widywali. Jednakowoż Hilda na taki układ przystać nie chciała.

Przyszła na śniadanie jako istna antyteza dnia poprzedniego, w koafiurze niemal surowej, niemal bez pudru na twarzy, w skromnej sukni koloru wina.

— Jaki dzisiejszy porządek dzienny? — zagadnęła.

Dr Harry miał odwiedzić Lady Woodward, starego generała Russella, admirała i parę „nicości".

Molly spojrzała na niego. Lady Woodward z Longdean była przed zamążpójściem Bellą Gaywood. Była to wdowa w nieokreślonym wieku, z czternastoletnim synem, utlenionemi włosami, nadszarpniętą reputacją i, jak to Molly wiedziała, z niewątpliwym penchant do Harry'ego. Wikary starannie obznajamiał Molly z licznemi wizytami Harry'ego. Pani Russel spotykając panią Simpkinową, pytała kwaśno:

— A któż to teraz choruje w Longdean?

Aliści Harry z nieprzeniknionym wyrazem twarzy krajał szynkę. Hilda się nadąsała. Molly rzekła sobie w duchu, że jej przyjaciółka jest na takie dąsanie się za stara, ale że jednak robi to bardzo ładniutko.

— Biedna ja! — jęknęła Hilda. — Tak pragnęłam zagrać w golfa! No ale mniejsza o to. Zagramy sobie z Molly.

— Lady Woodward i jej synek chcieli koniecznie, żebym im towarzyszył — nadmienił Harry. — Nawpół im to obiecałem.

— Niech pan dotrzyma słowa, — rzekła Hilda. — Mam miljon rzeczy do opowiedzenia Molly.

Czworo starszych, tudzież impertynencki Jerzyk spotkali się w klubie. Molly zdziwiła się, czemu Hilda tak cierpko traktuje Lady Woodward. Ostry języczek nigdy nie stanowił silnej strony Belli Gaywood. Zdawała sobie doskonale sprawę, że mężczyźni podziwiają jej twarzyczkę i figurę, nie zaś jej mózg. Tego popołudnia Harry nie wrócił do domu na obiad i Molly, jak to zauważyła Hilda, była nieco zgaszona.

Przez cały prawie tydzień lał deszcz i dęły wiatry. Pierwszego dżdżystego poranku Hilda się wprosiła, że będzie towarzyszyć dr Harry'emu w krytem jego aucie. Wrócili na śniadanie rozbawieni, po wypiciu cock-tail'ów w Royal'u, i wesoło spędzili wieczór, gotując sobie kawę w pokoju bilardowym, gdy tymczasem Molly pisała listy. Późnym wieczorem Hilda nastawiła duży gramofon i tańczyli we dwoje z Harry'm, ściągnąwszy w salonie dywan i poodsuwawszy krzesła pod ściany.

OCZYWIŚCIE Harry był flirciarzem. Nie była to dla Molly nowina. Przypomniała sobie przykry wieczór, gdy niespodzianie odkryła swego małżonka i guwernantkę Russellów, przynajmniej w trzydzieści minut po ustaniu deszczu, wciąż jeszcze chroniących się w nawpół zwalonej stodole Lamba za pastwiskiem gminnem. Działo się to przed dwoma laty i było właściwie drobnostką, lecz obudziło czujność Molly. Potem ta głupiutka mała Doris Perkins, którąby kokietowała nawet patryjarchę Matuzala; potem Agnes, której mąż był tak strasznym nudziarzem, że może Harry ostatecznie z dobroci serca wdał się w ten romansik. Miłostka następowała po miłostce, a każda coraz bardziej zatwardzała nastrój Molly. — Wycofała się na stronę. Śledziła męża bezosobowo, beznamiętnie.

A teraz oto zawraca sobie głowę tą Hildą.

To widoczne. I coraz widoczniejsze. Wymówki jego, by zostać z nią sam na sam, są tak dziecinnie niezręczne. Gdy Hilda odrobinkę sparzyła sobie palec, prażąc orzeszki na kominku w sali bilardowej, Harry nieskończenie długo jodynował ów paluszek i owijał go merlą.

— Jakoś teraz nikt nie choruje w Longdean, — zauważyła pani Russell po miesięcznym pobycie Hildy.

A że Molly nic nie odparła, stara dama błysnęła okiem i ciągnęła dalej:

— Czem się dzieje, że wdówki tak chętnie pozostają wdówkami, gdy natomiast rozwódki koniecznie chcą znowu wyjść zamąż?

Zadaniem życiowem pani Russell było robienie ludziom przykrości ze sztywnego poczucia obowiązku. Jeśli pani Simpkin jest ślepa, to ona nią nie jest. Ta pani Gordon i młody dr Harry zanadto się afiszują. Nie omieszkała zaznaczyć tego faktu i strasznie była nierada, gdy Molly potwierdziła z niedbałym uśmiechem:

— Tak, bardzo się przyjaźnią.

Ale jeśli się uśmiechała podczas trwania wizyty pani Russell, to zostawszy sama, nie uśmiechała się bynajmniej. W swym pokoju na górze jęła badać się w lustrze. Kiedyś Hilda i ona były rówieśnicami. Teraz przestały być niemi.

PODEJRZENIE padło jak ziarno, puściło kiełki i wzrastało, gdy Molly nieruchomo siedziała przed zwierciadłem. Ów pierwszy żałosny liścik Hildy był najwidoczniej zaczepką. Pragnęła, by ją zaproszono. Z Harry'm przyjaźniła się oddawna. Czy przyjechała tu celem usidlenia go? Mężczyźni i kobiety, których życie domowe zostało zburzone, zgoła odmiennie oceniają świętość ogniska innych ludzi. Hilda poprostu zrobi to, co jej zrobiono. Roczniki Izby Rozwodów pełne są tego rodzaju przykładów.

Hilda zawsze była podstępna i strzelała z za węgła; przytem była interesowna. Strofowała ongi Molly, że ta wychodzi za nie mającego grosza przy duszy Harry'ego. Dziś Harry jest bogaty... Te stroje, te śmieszki, te oczka, te zaczepki...

Wydało się Molly, że jej dotychczasowa ślepota jest poniżająca.

Wesoły śmiech Hildy sprawił, że Molly stanęła w oknie. Harry i młoda kobieta biegli przez trawnik, wspólnie tocząc piłkę od golfa. Nagle Harry wymierzył piłkę zbyt nisko i trafił Hildę w kostkę. Krzyknęła głośno, więc doktór pośpieszył na ratunek, przyklęknął na wilgotnej trawie i jął masować obrażone miejsce.

Niby w tem nie było godnego uwagi; ale oto Hilda podniosła wzrok, najwidoczniej dostrzegła Molly w oknie, cichutko coś szepnęła partnerowi i winowajczo podążyła do domu.

Molly była pewna.

Wszelakoż pewność ta zaskoczyła ją nietylko bez przygotowanego planu działania, lecz nawet bez upatrzonego celu do pocisków. Harry był stracony już na długo przed przyjazdem Hildy. Od dwu lat byli dwojgiem oddzielnych ludzi. Parą zaślubionych lecz obcych sobie, i coraz bardziej obcych, osób, tak, że wiarołomstwa i upokorzenia stały się obojętne.

Ale — Hilda!

ROZPALIŁO to Molly. Do Hildy czuła bardziej piekącą urazę niż do Lady Woodward czy każdej innej wspólniczki minionych szaleństw swego męża. Hilda, jej przyjaciółka, jej kuzynka! Hilda, względem której miała zawsze jeżeli nie wzgardę, to coś w rodzaju litościwego współczucia, ileże była od Molly daleko mniej mądra i ładna!

Teraz Hilda była nierównie ładniejsza, o wiele młodsza, o wiele świetniejsza. Mężczyźni są tacy niemądrzy. Przeważnie chodzi im tylko o najzewnętrzniejsze przymioty, o szczupłe kostki, błyszczące oczy, zalotne minki — o te wszystkie poniżające, haremowe sztuczki, które kobiety uprawiają prawie bezwiednie.

I to Hilda ma jej odebrać Harry'ego — jak go już odebrała opuszczonej Lady Woodward! Ta myśl była nie do zniesienia.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Molly! — ozwała się Hilda. — Ta piłka nabiła mi okropnego siniaka. Jak sądzisz, możeby dr Harry przyłożył mi jaką arnikę, czy coś?

— Ależ naturalnie! — krzyknął Harry ze swego pokoju.

— Proszę, Hildo kochana, wejdź, — zapraszała Molly.

— Nie, dziękuję, kochanie. Oto dr Harry.

Nastąpiła ściszona rozmowa, potem oddalające się kroki i milczenie.

Czy to gniew, odraza, potępienie, upokorzenie, czy też poprostu najzwyklejsza zazdrość wywołała to ściśnięcie serca, a potem to rozszerzenie się jego i „wysokie ciśnienie"? Czy to nadzieja — ale czegoż miała, czegoż mogła się spodziewać? — sprowadziła ten nagły, szybki i urywany oddech?

Nie, Hilda go nie dostanie. Choć jest niczem dla Molly, niczem też pozostanie dla Hildy. Spojrzała na zegar nad kominkiem.

Oczywiście nie może się posłużyć bronią Hildy; równie oczywiście nie ukuje sobie własnego oręża, musi zataić wszelkie ślady przygotowań, zbliżającego się konfliktu, wybuchu. Nazajutrz rano oświadczyła, że jedzie do miasta i z bólem przechwyciła ucieszone spojrzenie, jakie Harry rzucił ukradkiem Hildzie.

I pojechała. Oddawała się w ręce różnym krawcowym, płacąc niewiarygodne ceny za doraźne przeróbki. Zniosła niemożliwą nudę manicure'u i vibro-masażu. Ale stroje, które przywiozła ze sobą do Fontaine, nie były w stylu Hildy. Były to stroje dojrzałej kobiety, w której mądrości również i tajemniczość ma miejsce. Tego wieczoru ona to zaproponowała tańce i zasiadła do pianina, podczas gdy Harry wirował z Hildą. Chytrze i okrutnie grała, to zbyt wolno, to zbyt szybko, aż wreszcie nawet Harry się zniecierpliwił i skarcił jej grę.

— W takim razie niech nam Hilda pokaże, jak się to robi, — rzekła, — a ty zatańczysz ze mną.

Zatańczywszy z nią, zdumiał się. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się zauważyć takiej Molly — z jej uwodnością, z jej... jakby to nazwać? Ach, tak, Harry już wiedział: z jej noli me tangere. Przypomniało mu to miodowy miesiąc i dnie jeszcze wcześniejsze. Obudziło to w nim jakąś chronologiczną nostalgję.

Ale potem Molly rzekła tylko: — Śpij dobrze, — a on tylko pocałował ją w czoło, mówiąc: — Dobranoc.

3

A TERAZ Molly weszła w szranki. Przedewszystkiem, poraz pierwszy od przyjazdu Hildy zeszła rano na pierwsze śniadanie. Z wdziękiem i pilnością pełniła funkcje gosposi. Harry i Hilda już nie pozostawali sami, chyba z wyraźnej woli Molly. Mężczyźni naogół zmian nie lubią i nie mogą ignorować zagadek. Zmiana w żonie była zbyt oczywista, by mogła ujść uwadze Harry'ego. Jej uprzejmość względem Hildy, sposób, w jaki poświęcała własne

upodobania by dogodzić gościowi, były jawne. Dziwił się i śledził ją bacznie, ażeby odkryć nić przewodnią. Od dwudziestu czterech miesięcy nigdy z nią nie mówił ani nie patrzał na nią tak często.

Molly wytrwała przez cały czerwiec, lecz z upadającym duchem. Hilda wzięła sobie była zbyt długą forę. Flircik nie był ułomnem dziecięciem: wzrastał i rozwijał się pomyślnie, a biedna Molly nie mogła tego wzrostu wstrzymać. Napróżno wyszła ze swej skorupki, napróżno się wyzbyła leniwych swych obyczajów, napróżno starała się przyozdobić umysł i ciało. Uprzytomniła sobie, że zgóry skazana jest na niepowodzenie.

W końcu miesiąca, zgoła niespodzianie, Hilda oświadczyła się z zamiarem odjazdu. Dała temu wyraz przy śniadaniu i Molly, uśmiechnięta i protestująca, dostrzegła bez patrzenia na Harry'ego, jak bardzo on się zgryzł.

Jakże dziwnie historja się powtarza! Tego wieczoru Molly wracając z jakiejś wizyty poprzez pastwisko gminne, usłyszała głosy w nawpół zwalonej stodole Lamba, poznała, że to są głosy Harry'ego i Hildy, zatrzymała się jak w ziemię wkopana, potem przecięła wąski trawnik i stanęła wśród gęstych zarośli, pod jedną z wąskich szpar, stanowiących jedyne okna stodoły.

Przegrała. Wszystko było stracone.

— Czyż nie jest prostą uczciwością szczerze wyznać, gdy się popełniło omyłkę? — mówił Harry. — Czyż pomyłka jest ołtarzem, na którym trzeba poświęcić w ofierze swe serce i głowę i wszystką radość życia? Sądziłem, że kocham Molly. Sądziłem, że ona mię kocha. Teraz wiesz — sama widziałaś, jak się sprawy mają. Zresztą nie mamy dzieci, któreby to skrzywdziło. Czemuż skazywać mię na wytrwanie w tych gorzkich więzach aż po kres żywota?

— Czyś tego nie ślubował? — zapytała Hilda.

— Czy twój mąż nie ślubował?

— A czyż ja go bronię? — odpowiedziała pytaniem.

— Miałem wrażenie, że ci nie jestem obojętny. Sama nasunęłaś mi tę myśl. Hildo, ja...

Więcej nic nie powiedział. Molly wspięła się na palce i zajrzała. Tak, trzymał Hildę w ramionach. Istotnie wszystko stracone. I oto, stojąc tak, zdała sobie sprawę, że triumf Hildy jest niczem w porównaniu z cierpieniem, jakiego doznała poprostu z powodu jego utraty. W poprzednich swych flirtach postradał znaczną część żoninego przywiązania, cały jej szacunek, ale — jak obecnie ze zdumieniem poznała — nie jej miłość. Zrozumiała z bólem serca, że go dotąd kocha, choć musiała kochanie to ujarzmić i zrobić biernem. Widocznie zawsze żywiła nadzieję, podświadomą nadzieję, sama tego nie podejrzewając. Albowiem teraz czuła jedynie cierpienie.

USŁYSZAŁA szelest słomy pod ich nogami, i zdziwiła się w duchu na opór Hildy.

— Puść mię, ty szaleńcze! — doszło do jej zdziwionych uszu. — Jak możesz? Zapominasz chyba o Molly!

— Aż do dzisiaj niewiele myślałaś o niej! — zawołał Harry dotknięty, ale jej nie wypuścił.

— Myślałam o niej ciągle. To myśl o niej sprowadziła mię do was. Słuchaj, powiem ci, choć początkowo nie miałam mówić. Wina jest po twojej stronie. Słyszałam w Londynie od Skeanów i Nathalów, jak się zachowujesz. Słyszałam o tej guwernantce i tuzinie innych, z... Bellą Gaywood na zakończenie! Dlatego przyjechałam. Kiedyś dawno, w szkole, Molly zaniedbała się przed egzaminem.



Zaczęłam kuć — by jej podstawić nogę. Co też mi się udało na egzaminie próbnym. Wtedy wzięła się na pazury i zwyciężyła. — I oto jeszcze raz spróbowałam podstawić jej nogę.

Oburącz, oparłszy się o jego pierś, odsuwała go od siebie.

— Molly znienawidziłaby mnie, więcej jeszcze niż teraz mnie nienawidzi, gdy myśli, żem dość podła i głupia, by z tobą flirtować. Znienawidziłaby mnie, jeśliby wiedziała, dlaczego ją dopingowałam w szkole. Przyjechałam, ażeby odpalić Bellę Gaywood i zagrzać Molly do walki i dopięłam swego. Czyś ty ślepy? Czy nie widzisz, że ona dziesięć razy ładniejsza i mądrzejsza ode mnie? Ale się opuściła, a ja wiem z doświadczenia, do czego to prowadzi. Miałam nauczkę. Opuściłam się i Ryszard opuścił również, tylko nie się ale mnie. Kocham Molly i wydaje mi się, że ona kocha ciebie — choć Bóg raczy wiedzieć, za co!

Teraz puścił ją.

Molly zamknęła oczy. Jeszcze chwila, a mogli ją odkryć. Przemocą zmusiła się do odwrotu. Raz po raz oglądała się nerwowo, zanim wpadła do gaiku za pastwiskiem. Z tej kryjówki widziała, jak Hilda wychodzi na słońce — sama jedna.

Na progu stodoły ukazał się Harry i stał tam dłuższą chwilę, patrząc w niebo.

I nagle, na jego żałosny, opuszczony widok, łzy napłynęły jej do oczu. Wolniutko szła przez gaik, opanowana, rozmyślająca, ważąca coś w umyśle.

HILDA pakowała rzeczy, kiedy Molly okrężną drogą wróciła do domu. Na stole w sieni leżała heljotropowa koperta z purpurowym herbem Woodwardów. Molly uniosła brwi, rozpoznawszy pismo. Dotychczas Lady Woodward pisała do niej tylko raz w życiu — list, dosłownie skopjowany z „Poradnika dla piszących listy".

„DROGA PANI SIMPKIN, — pracowicie pisała Lady Woodward, widocznie co chwila zasięgając pomocy owego Poradnika, — Dopiero teraz się dowiaduję, że uprzejme odwiedziny Męża Pani wywołały plotki i oszczerstwa. Jest mi niezmiernie przykro zarówno na Panią, jak i na mnie samą. Czternastoletni chłopak — to dla młodej wdowy ciężar niemały, szczerze więc wyznaję, że się bardzo cieszyłam z wizyt dr Simpkina, ponieważ wpływ jego na Jerzyka był wielki i dobroczynny. Zechce Pani wierzyć, iż ani przez chwilę nie chciałam urazić Jej uczuć. Na dr Simpkina zawsze patrzałam w tem samem świetle co na wikarego lub swego prawnika: li tylko w zawodowym jego charakterze. Nigdy mi nie przyszła na myśl możliwość uwłaczającego kojarzenia jego nazwiska z mojem. Skoro dodam, że na jesieni wychodzę zamąż za Lorda Sedgwicka i że Pani pierwszej o tem donoszę, jestem pewna, że Szanowna Pani będzie równie oburzona na te okrutne i złośliwe plotki,

jak jej oddana MELISSA WOODWARD"

Niedawno Hilda powiedziała: „Molly cię kocha, choć Bóg raczy wiedzieć, za co". A teraz ta!... Molly zbladła ze wściekłości i pobiegła na górę. Sama się jednak dziwiła, czemu czuje gniew. Że Harry'ego poniżono, upokorzono, że jakaś tam Bella Gaywood ma sobie za ujmę łączenie jego nazwiska ze swojem, — to wszystko powinno wszak być przyjemne zdradzonej żonie? Dlaczegóż więc czuje się jego sojuszniczką, aljantką?

Coprawda, znała przyczynę tego i uśmiechnęła się z pewnem zmieszaniem, gdyż ta świadomość była cokolwieczek upokarzająca. Owo odkrycie przy stodole — to nie histeryczne przywidzenie; to żywa prawda. Molly kochała, a jej kobieca miłość była macierzyńska, to znaczy obrończa, współczująca, chętnie parująca każdy cios wymierzony w przedmiot tego ukochania, pragnąca szybko leczyć jego rany. Harry powalony w proch, słaby, ośmieszony, był w tajemniczy i niepojęty sposób — Harry'm ukochanym.

Przez wzgląd na nią samą (która pojechała po zakupy stroi do Londynu, dzieki dopingowaniu Hildy), przez wzgląd na niego (którego tak bezlitośnie poniżono), trzeba zniszczyć i nazawsze zapomnieć zarówno o tym liście, jak i o podsłuchaniu pod stodołą.

GRZECZNIUTKO zeszli się we troje przy herbacie. Nieskrępowanie spożyli obiad. Nazajutrz wesoło zjedli śniadanie. Zazdrość byłaby już nie na miejscu, nienawidził Hildy, a nienawiść ta połyskiwała mu z oczu, niby wpół ukryty nóż w dłoni wahającego się jeszcze mordercy. Po południu odwiózł żonę i Hildę na dworzec. W drodze powrotnej kobieca miłość zmusiła Molly, że zaproponowała mężowi zatrzymać się na szczycie wzgórza. Z tej wyniosłości oglądali okolicę.

— Czy tego lata wybierzemy się gdzie we dwoje, Molly? — poddał nagle. — Mieliśmy ohydną wiosnę.

— Wiosna minęła, — odparła. — Niespokojny to sezon, niebezpieczny, nużący... czy ja wiem. Dopiero w lecie można się urządzić. To samo w życiu. Tylko że niektórzy szaleńczo przedłużają swą niemądrą, nieukojną wiosnę aż do jesieni i tym sposobem zupełnie tracą lato.

Obrócił się i spojrzał jej w oczy.

— Wiem, do czego zmierzasz, — powiedział czerwieniejąc. — Molly, ja... jabym powinien...

Przerwała z uśmiechem, położyła mu obie ręce na ramionach i znów obróciła jego twarz ku sobie.

— Nie oglądaj się. Patrz na otwartą okolicę. Wiosna minęła. Zapomnijmy o niej. Pozwólmy latu — latu naszego życia — dziś się rozpocząć.

A. G. GREENWOOD

Z ang. przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski

DWIE PREMJERY

SŁOWACKI I SHAW

„KORDJAN" W TEATRZE WIELKIM

Romantyzm polski dzieł swoich na scenie nie widział. Realizacji „Dziadów" w czasie którychś kontraktów nowogrodzkich (ostatnio za kalumniatorem Mickiewicza Gołembiowskim przypomniał ją prof. Bruchnalski) — niepodobna uważać za wcielenie pełne, obowiązujące, znaczące. Słowackiemu pewnie i to się nie dostało w udziale. Dramaturg wspaniałej miary, co uczył się na dramacie Szekspira i na romantycznym teatrze francuskim, nie widział ani jednej ze swych wizyj, ożywionych na scenie. Zdaje się nawet, zczasem myśleć o tem przestał. Za Mickiewiczem odsunął tę perspektywę w przyszłość daleką i kto wie, czy jego marzeń o przyszłym teatrze słowiańskim i polskim, snutych z katedry Collège de France nie podzielał. Bo stanowią one znamienną, swoistą teorję teatralną romantyzmu polskiego. Bez wątpienia jest w niej wiele rzeczy nie do przyjęcia — Mickiewicz teatrologiem nie był — ale też jest wiele idej wyprzedzających swój czas, jest suma wskazań ogólnych dla dramatu romantycznego obowiązujących. Wyspiański przejął i poniekąd realizował postulaty Mickiewiczowskie w swojej twórczości dramatycznej. Schiller, który wychował się w Krakowie, w kręgu bezpośrednich oddziaływań dramatu i teatru Wyspiańskiego, który w „The Mask" określał proporcje europejskiej swoistości tego zjawiska, bliskiego mu zwłaszcza w czasie współdziałania z reformatorem współczesnego teatru E. Gordonem Craigh'em, i w czasie entuzjazmu dla nierealistycznych form teatralnych — w pewnym okresie swej działalności, jako kierownik sceny im. Bogusławskiego w Warszawie, właściwie pierwszy przedsięwziął urzeczywistnienie zasadniczych idej teatralnych Mickiewicza. Do szeregu tych wielkich realizacyj scenicznych, w genezie i charakterze należy — wystawienie „Kordjana" w rocznicę powstania listopadowego na scenie lwowskiej.

„Kordjan" stanowi — obok „Dziadów" cz. III — chyba najbardziej bezpośrednie echo sprawy 1831 r. Jeśli droga twórcza Mickiewicza tego czasu była wspięciem w górę, była poszukiwaniem w mesjanizmie sensu uzasadniającego i rozwiązującego straszliwy tragizm narodowy, „Kordjan" — mimo całej romantycznej pozy, całej poetyckiej stylizacji — był spojrzeniem w oczy Polsce i sobie z poziomu rzeczywistości. Jest w nim gniew, rozpacz, gorycz zawodu, jest pasja polemiczna i oskarżycielska „Wielkiego Tułactwa", jest nakoniec — niezgasła wola odwetu, potężna wibracja rewolucyjna. Dlatego wszystkiego zapewne kierownik dramatyczny sięgnął po „Kordjana" z ominięciem utworów Wyspiańskiego o powstaniu, nie zawahał się uczcić powstania może najzjadliwszym i najpotężniejszym jego persyflażem, dlatego to i przedewszystkiem to wydobyła inscenizacja lwowska: dramat polemiczny i dramat rewolucyjny. Ze stanowiska dzisiejszości polskiej, mającej pełną, nieskrępowaną swobodę i odwagę spojrzenia we wczorajszość swoją, która przecież żywa była, jeśli poczęła dzień nowy — zaczepiać tego wyboru nie podobna.

Ujęcie sceniczne, choć sięgające do dawnych prac Schillera, ukazało naocznie metodę jego pracy, jego zdumiewającą wiedzę teatralną: zwłaszcza w zakresie operowania techniką świetlną oraz w zakresie rytmizacji i wokalizacji momentów zbiorowych, nakoniec jego świetne odczucie dramatu romantycznego. Prof. Kleiner, monografista Słowackiego, wyraził się w rozmowie z podpisanym, że kształt sceniczny nadany przez Schillera jest jedyny, w jakim „Kordjan" jest do pomyślenia. Od wszystkich dotychczasowych realizacyj — lwowską różni zasadniczy typ ujęcia nienaturalistyczny, ale — w konsekwencji postulatów Mickiewicza — monumentalny. W stałej, kolorystycznie jednolitej konstrukcji scenicznej, znowu w myśl wskazań Mickiewicza rozplanowanej na sposób misterjów średniowiecznych w trzy, względnie dwie płaszczyzny, łączące się schodami — zmiany terenu znaczono symbolicznemi, syntetycznemi skrótami (pojedyńcze meble, płaszczyzny świetlne, kolumny, uproszczenia linearne szczegółów przyrody itp.) Odciążało to widowisko ze zbędnej szczegółowości, a wyposażało we wspaniałą wizyjność, dobywało romantyczny patos poetyckiego słowa. To także pozwoliło przenieść „Kordjana" na scenę w całości z obu prologami, co jest pierwszym faktem w dziejach scenicznych tego utworu. Poza szczegółami nieistotnemi lub teatralnie szkodliwemi usłyszeliśmy tekst pełny. Schiller potrafił wydobyć znaczną siłę dramatyczną w nim zawartą, ukazać znaczną jednolitość wewnętrzną. Sceny zbiorowe np. Pod kolumną Zygmunta, koronacja, spisek zademonstrowały świetną technikę operowania tłumami, scena I-go prologu, w szpitalu warjatów, przed pokojem cara — umiejętne zastosowanie efektów świetlnych.

Zespół cały ze Strachockim-Kordjanem na czele poza brakami nielicznemi dał wysiłek wysokiej wartości. Wyróżnienie specjalne należy się Wiercińskiemu, który zabłysnął niepospolitą inteligencją aktorską, doskonale ekspresyjną interpretacją tekstu poetyckiego i sugestywną gestyką.

„Kordjan" stanowi dowód nowy, że Schiller to jeden z najwspanialszych znawców i realizatorów polskiego dramatu romantycznego.

„NOWA UMOWA MAŁŻEŃSKA" W ROZMAITOŚCIACH

Sztuka Shaw'a wystawiona przez teatr lwowski za Warszawą jest, ściśle określając, wieczorem dyskusyjnym na scenie. Choć w tem przeniesieniu całkowitem ciężaru z dziania się, z akcji na grę myśli, w zastąpieniu sytuacji — słownym paradoksem, jest odstępstwo od wymagań i przyzwyczajeń, ta głęboka igraszka intelektualistyczna bawi nienużąco, zajmuje, żywo pobudza. Dzieje się to za sprawą talentu Shaw'a, który umie dla swojej fenomenalnej dialektyki stworzyć żywe, choć świadomie trochę w karykaturę przerysowane postacie. Ludzie Shaw'a są także paradoksalni. Taki Sinjohn Hotchkiss „snob z zasady", zmykający z posterunku, by nie dopuścić do awansu przełożonego, który nie należy do „towarzystwa". Taki płaksiwy generał, obwieszony krzyżami za waleczność, wiernie przez dziesiątki lat oświadczający się tej samej pannie i heroicznie nie rozstający się z fajką, która stanowi główną przyczynę otrzymywanych odkoszów. Taki uśmiechnięty, wyrozumiały biskup anglikański, który przypomina, że „humor jest znamieniem boskiem". Jest w tem swoista, urocza i zabawna ekwilibrystyka charakterologiczna. Podobnie w powiązaniu, w relacjach postaci do siebie, w powikłaniach dramatycznych, Shaw stwarza świadomie kombinacje paradoksalne.

Poprzez takich ludzi i tak ustosunkowanych, w „Umowie małżeńskiej" (tytuł pochodzi od tłumacza i stanowi zbędne, fałszujące odstępstwo) Shaw prześwietla paradoksem, intelektualistycznie nicuje — arcytemat, wieczyste zagadnienie: małżeństwo. Od każdej strony jest rozważone i od strony dwojga ludzi, którzy za chwilę mają iść do ołtarza, i takich, którzy się rozchodzą i którzy się zejść nie mogą, od strony ludzi wolnych, związanych już i negujących zgóry, jak ascetyczny ks. Antoni, dla którego kobieta i małżeństwo jest najwyższem złem. Efekt tej kilkugodzinnej dyskusji? Pozornie żaden. Próba zreformowania małżeństwa na wzór starożytnych umów małżeńskich nie udaje się, bo tyle jest sprzecznych żądań już przy pierwszym punkcie, ilu obecnych. A i para młodych narzeczonych, z których przyczyny rozpętała się rozprawa nad małżeństwem też, wkońcu zrzuciwszy obawy, bierze ślub.

Shaw, zachwiawszy podstawami, przyjętemi, uznanemi, obowiązującemi formami małżeństwa, w ostatecznej konkluzji zdaje się mówić, że małżeństwo jest — niezachwiane. Sprawa współżycia dwojga ludzi jest sprawą instynktu i nikt jej zburzyć nie zdoła. Nie potrzeba tylko sprawy w samem sednie dziwnej, trudnej, fantastycznie powikłanej plątać, utrudniać, wyposażać w sumę tragizmu i — fałszu. Nie potrzeba stwarzać rygoru jednej, niezmiennej formy, oschłego schematu wszystkich obowiązującego i obejmującego wszystkie przypadki. „Dajcie nam uczciwe rozwody" — mówi dobry, rozumny, wyrozumiały biskup.

„Umowę" reżyserował Wierciński — poprawnie, zupełnie zgodnie z jej charakterem. Sztuka była umiejętnie mówiona: naogół nie zatracano point świetnych, niezliczonych paradoksów. Jednocześnie była scenicznie żywa: w niewielkiej przestrzeni reżyser umiał zasadniczo statyczną sytuację ożywić; osoby mówiące falowały, grupowały się coraz to odmiennie, zmieniały ustosunkowanie do siebie. Ta niefektowna, trudno dostrzegalna robota reżyserska przynosi Wiercińskiemu prawdziwą chlubę.

Wykonanie aktorskie również zadowalające. Na czoło wysunął się chyba Konradt w roli anglikańskiego Savonaroli: świetnie w masce dykcji i geście akcentował stężałość uczuciową i umysłową fanatyzmu. Każda rola tego obiecującego aktora przynosi nową niespodziankę. Chmielewski w roli biskupa miał urok jego rozumnego spokoju, filuterność pobłażliwego uśmiechu. Dobrą klasę gry aktorskiej dała Żbikowska w roli burmistrzyni (ściśle i zgodnie z tekstem: burmistrzowej) p. George, mało jednak odpowiadająca tej roli warunkami zewnętrznemi. Szeroką skalę możliwości pokazała Kuncewiczówna, grając ze swobodą po „Dorocie" zupełnie odtragicznioną rolę naiwniutkiej Leontyny.

Dekoracja Daszewskiego konstruktywistycznie uproszczona stanowi fatalne nieporozumienie. Zgrzyt trwający przez trzy akty.

TYM. TERLECKI

PRZEGLĄD KSIĄŻEK

W BIBLJOTECE 120 EGZEMPLARZY, wydawanej w Księgarni Nakładowej w Poznaniu, pod światłą dyrekcją Jana Kuglina, wyszła książka AURY WYLEŻYŃSKIEJ: „W mieście świata polskie ścieżki", z 60 oryginalnemi akwafortami i 20 rysunkami WILKA OSSECKIEGO. Nowa praca autorki „Czarodziejskiego miasta" nie da się podciągnąć pod żadną kategorję literacką. Na podstawie badań i dokumentów zbudowanych jest 10 rozdziałów, złączonych ze sobą jedynie miejscem akcji, Paryżem, po drogach którego przewijają się różne polskie postacie, zaczynając od Jana Kazimierza, a kończąc na ludziach dzisiejszych. Zresztą chronologja nie jest nigdzie ściśle zachowana; wieki, epoki i bohaterzy łączą się, przychodzą i odchodzą, jakby w myśl, iż czas jest rzeczą względną i nasz do niego stosunek też jest względny. Może dzięki temu dawno umarli nie występują jako duchy, ani jako z bronzu odlani, lecz w nagłej chwili ewokacji.

To jest zapewne urokiem książki, nowością jej zaś forma — raz akcja uchwycona w dramatycznym skrócie, kiedy indziej rozwija się w powieściowej oprawie, niekiedy zaś przybiera spokojny tok opowiadania. Styl prosty, bardzo własny, język myśli przychylny.

Miedzioryty Wilka Osseckiego — Kościół Saint Germain, gdzie leży Jan Kazimierz, Kościół Saint Séverin, miejsce drogie Polakom, odkąd znajduje się tam obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, grób Słowackiego, pomnik Mickiewicza, gmach Bibljoteki Polskiej i Hôtel Lambert, — posiadają zalety zwykłe temu artyście: obok świetnej techniki, doskonałe odczucie tematu, poezję delikatną. Są to rzeczy wielkiej wagi zarówno dla swej prawdy jak i dla artystycznego jej oddania.

Książka ta, poza walorami literackiemi i artystycznemi, jest osobliwością jako okaz typograficzny; drukowana na czerpanym papierze, wykonana jest nader pięknie, odpowiadając wszelkim wymogom bibljofilskim. Na wystawie w Paryżu — Polska 1830—1920—1930 budzi ogólny zachwyt.

Wiadomość o tej nowej a tak cennej pracy A. Wyleżyńskiej, której czarującą podobiznę pendzla znanego malarza Józefa Chlebusa, podaliśmy w nrze 23 z 1 grudnia 1930, ucieszy wszystkich wielbicieli jej bogatego, wielostronnego talentu.

DR ZOFJA KRZEMICKA: „Powstanie listopadowe 1830—1831". Przedmową opatrzył Ludwik Finkel. Z 7 ilustracjami. — Bibljoteka Macierzy Polskiej. — Lwów. Nakładem Macierzy Polskiej — 1930.

Wśród licznych wydawnictw popularnych, jakie pojawiły się w setną rocznicę powstania listopadowego, wyróżnia się publikacja dr Krzemickiej szczęśliwie uchwyconym tonem, uwzględnieniem najnowszej wiedzy historycznej o insurekcji 1830 roku, oraz żywością przedstawienia wypadków. Zalety te składają się na książkę w swoim zakresie wzorową, która, idąc w szerokie masy, zdoła obudzić w nich to, co wynika z dzisiejszego rewizjonizmu historycznego: głęboką cześć i miłość dla inicjatorów ruchu z przed stu lat, któremu dziś dopiero, po pewnym upływie czasu od powrotu niepodległości i — co za tem idzie — po rozejrzeniu się w problemach niezależnego bytu państwowego, umiemy oddać pełną sprawiedliwość. Nie traktujemy już czynu listopadowego jedynie z pietyzmem synowskim w odcieniu: de mortuis nisi bene, ale z uznaniem jego mądrego sensu politycznego. Po upływie stu lat poznaliśmy, że cierpliwość historji rozmierza się na spadki znacznie wolniejsze, niż nam się dawniej zdawało. — Praca dr Krzemickiej przedstawia sprawę bez tromtadracji i ckliwości, używanej zazwyczaj w piśmiennictwie popularnem, lecz unikając zbyt ostrej krytyki kierowników powstania, daje dramatycznie żywy i zwięzły a gorąco odczuty obraz rozwoju i upadku insurekcji, wiążąc ją trafnie z wersetami wyjętemi z literackich jej refleksów. — Przedmowa prof. Finkla, pisana niedługo przed śmiercią, wprowadza czytelnika w zamierzenia książki, a podobizny wodzów powstania, oraz reprodukcje litografij współczesnych, przedstawiające znamienne chwile owego czasu, doskonale uzupełniają tekst.

I. W.

HENRYK CIEŚLA: „Historyczne style". Lwów, 1930. Nakład własny.

Książka, która może być przykładem trafności ujęcia przy nadzwyczajnej zwięzłości. Przeznaczona dla szkół zawodowych i nauczycieli, oddać może jednak nieocenione usługi każdemu laikowi i pomóc w orjentowaniu się w stylach zarówno architektury jak ornamentyki i rzemiosła. Może zapobiec tak częstym mylnym klasyfikacjom wyrobów, które w swej rozpaczliwej bezstylowości otrzymują szumne nazwy. Bogaty materjał ilustracyjny podnosi wartość tej pożytecznej i pod każdym względem dostępnej książki.

KRONIKA

LIST OTWARTY. — Poniżej zamieszczamy nadesłany nam list otwarty w sprawie Brześcia:

„Dalekie od względów politycznych, zastrzegając się przeciw wyzyskiwaniu naszego wystąpienia w walkach partyjnych, powodowane najprostszemi uczuciami ludzkiemi, zwracamy się do was, posłanki, w sprawie Brześcia.

Bo jeśli Sejm Rzeczypospolitej jest jednym z parlamentów świata najliczniej obesłanych przez kobiety, to fakt ten zawdzięczamy przedewszystkiem autorytetowi moralnemu, jaki zdobyła sobie kobieta polska w czasach niewoli. Autorytet ten nie przestaje obowiązywać; zatem pobudki moralne — tylko one — powinny zadecydować o waszej postawie w ciężkiej chwili obecnej.

Żaden obywatel, a zwłaszcza żadna kobieta, nie może pogodzić się z tem, aby dla jakichkolwiek przyczyn łamano elementarne zasady etyki i cywilizacji, wzbraniające znęcania się człowieka nad człowiekiem.

Kobiety nie mogą pozostać obojętne wobec faktów, rujnujących od podstaw pracę wychowawczo-kulturalną i odbierających jej wszelki sens.

Zajścia brzeskie muszą być wyświetlone, winni ukarani, zaś podobne wykroczenia w stosunku do kogokolwiekbądź — na przyszłość uniemożliwione.

Anna Nałkowska, Anna Nałkowska-Bickowa, Marja Dąbrowska, Marja Weryho-Radziwiłłowiczowa, Helena Szalayowa, Marja Kuncewiczowa, Emilja Manteufflowa, Janina Mortkowiczowa, Zofja Żurakowska, Stefanja prof. Szoberowa, Wanda Sztekkerowa, Anna Oderfeldówna, Emilja Grocholska, Ewa Szelburg-Zarembina, Czesława Wojeńska, Wanda Żebrowska, Janina Benedek-Kowalska, Dr Dembowska, Jadwiga Krahelska, Irena Jabłowska, Józefa Zahorska, Stefanja Szuchowa, Dr. Marja Czapska, Sława Browińska, Zofja Węglińska, Helena Boguszewska, Marja Karczewska, Dr Marja Kociatkiewiczówna, Olga Małkowska, Dr Eugenja Stołyhwowa, Kazimiera Muszałówna, Jadwiga Suffczyńska, Lidja Bobrowa, Aniela Chmielińska".

W PARYŻU, w Editions Bonaparte, w ub. roku, wystawiała prace swe malarskie Teresa Roszkowska, uczenica Pruszkowskiego, znana z Zachęty.

Młoda artystka, prócz obrazów malowanych w kraju, dała nowe dzieła, które powstały na Południu Francji. Cechą jej sztuki dekoracyjność, groteska, tematem bądź znane legendy i bajki, bądź też — własne. Ostatnie jej prace, obok powyższych cech, posiadają wiele rozmachu; artystka nie zakreśla już sobie ciasnych granic małych płócien, ale operuje wielkiemi płaszczyznami, na których z większą swobodą daje bądź własnemi oczyma widzianą rzeczywistość, bądź wizję duszy. Wystawa świadcząca o wielkiem opanowaniu techniki pozwala na przyszłość stawiać dla Teresy Roszkowskiej piękne horoskopy.



TERESA ROSZKOWSKA

Z HIGJENY I KULTURY CIAŁA

ALKOHOL, KAWA, HERBATA

1) *O szkodliwem działaniu* alkoholu na ustrój ludzki nikt chyba nie wątpi, o ile chodzi o teorję, ale jakże inaczej przedstawia się ta sprawa w praktyce!

W życiu codziennem, na zebraniach towarzyskich, w cukierniach, restauracjach znane nam terminy: kieliszek, lampka, literatka, małe i duże piwo, mocna, czysta, żytniówka, powtarzają się nieco za często. Spotkanie dwóch znajomych przed południem kończy się często porozumiewawczem: wstąpmy na kieliszek — wieczorem: możebyśmy się tak napili? W chłodnej porze: możebyśmy się rozgrzali? W smutku mówi się o zalaniu robaka, w radosnych okolicznościach o oblaniu. Czarna kawa, sama w sobie już dosyć szkodliwa, musi być uzupełniona likierami, działającemi jak trucizna.

A cóż dopiero cocktaile — importowane ostatnio z Ameryki do Europy — które są najzjadliwszą trucizną. Ale nie znać tego trunku nad trunkami, to tyle co nie być współczesnym, i nie należeć do klanu wybranych, przodujących postępowi i kulturze. Snobizm ludzki nie ma granic i wszędzie znajduje pole do ekspanzji. Cocktail stał się więc ulubioną zabawką ludzi znudzonych, szukających coraz to nowszych i ostrzej działających podniet. Ile zła już wyrządził, ile jeszcze wyrządzi — nie obliczą tego żadne statystyki. Nie zbada ani medycyna, ani etyka społeczna, gdyż jako napój drogi, dostępny jest sferom zamożnym, które nie podlegają tak łatwo kontroli. Ale co w tem najsmutniejsze: opanował on kobiety, które mniej są na alkohol odporne od mężczyzn i za głupi wybryk mody płacą zrujnowaniem zdrowia i nerwów.

Badania statystyczne wykazują, że śmiertelność wśród ludzi używających alkoholu, chociażby umiarkowanie, jest większa aniżeli u tych, którzy nie piją go wcale. Być może, że powodem większej śmiertelności nie jest wyłącznie samo chemiczne działanie alkoholu na tkanki, ale w równej mierze skutki podniecenia i zamroczenia świadomości, w którym to okresie ludzie skłonni są do rozmaitych szaleństw, nadużyć i występków, do jakich w stanie trzeźwym nie byliby nigdy zdolni.

Alkohol sprowadza zmiany chorobowe prawie we wszystkich organach; nawet przy t. zw. umiarkowanem piciu, w małych a częstych, jak np. kieliszeczek dziennie, lub szklaneczka piwa przy posiłku, przyśpiesza zwapnienie tętnic i starzenie się przedwczesne. A ilu brzydkich zmian w cerze jest powodem? W przewodzie pokarmowym nader szybko ulega wessaniu i wraz z krwią przenika do wszystkich tkanek. Zmniejsza odporność na choroby, atakuje mózg, system nerwowy, nerki, wątrobę, serce i inne narządy, upośledza sprawność fizyczną i umysłową, a w naturalnej konsekwencji umniejsza powodzenie w pracy zawodowej i wogóle w życiu.

Alkohol — mówimy ciągle o umiarkowanem jego używaniu — osłabia zdolności intelektualne i pamięć, opóźnia najprostsze procesy umysłowe, choćby np. takie, jak dodawanie pojedynczych liczb. Kieliszek wódki na czczo obniża zdolność uczenia się napamięć. Zwyczaj picia wódki przed jedzeniem jest podwójnie szkodliwy, gdyż alkohol wchłonięty przez pusty żołądek prędzej zatruwa organizm, aniżeli z jedzeniem i wraz z niem zatrzymany w jelitach.

Podnieta, jaką daje alkohol w pracy mózgu i mięśni, jest chwilowa. Twierdzenie, że alkohol dodaje sił, jest przykrem złudzeniem. Po krótkotrwałem wytężeniu następuje reakcja, stępienie sprawności umysłowej i fizycznej. Jesteśmy wtedy dużo słabsi niż przed wypiciem alkoholu. A chwilowe złudzenie przypływu sił polega na tem, że alkohol paraliżuje na pewien czas te ośrodki nerwowe, które dają nam odczuć zmęczenie. Pokonywanie zaś zmęczenia jakąkolwiek podnietą, czy siłą woli, wywiera zawsze ujemne skutki dla zdrowia.

Badania wydatności pracy umysłowej i fizycznej u osobników nieużywających alkoholu i używających w sposób umiarkowany, wykazywały jednozgodnie obniżenie poziomu u tych drugich, wbrew ich zapewnieniom, że alkohol dodaje im sił i ochoty do pracy. Alkohol bowiem nie działa wzmacniająco lecz oszałamiająco, a krótki okres podnieconej pracy opłacony jest kosztem jej dokładności i pewności.

Pod wpływem nawet nieznacznych dawek alkoholu występuje zamroczenie zdrowego rozumu, zdolności wydawania sądu, samokrytycyzmu. Człowiek nie panuje nad sobą; rozluźniają się pojęcia o etyce, o godności osobistej, o tem co leży w granicach unormowanych rozsądkiem i zwyczajami. Wypicie większych ilości alkoholu sprowadza zupełny zanik świadomości, co jest chyba największem niebezpieczeństwem dla każdego człowieka.

Rzecz jasna, że nie każda jednostka reaguje w taki sam sposób po wypiciu takiej samej ilości alkoholu. Jedni mają t. zw. słabą głowę, drudzy mocną, czyli pierwszym wystarczy do oszołomienia mała ilość alkoholu, drudzy są wytrzymalsi. Ale właśnie tym osobnikom o mocnych głowach grożą gorsze następstwa, gdyż pochłaniając większe ilości napojów wyskokowych zatruwają silniej organizm.

Badania przeprowadzane na ludziach i zwierzętach wykazały dalej, że alkohol ogranicza wytwarzanie antytoksyn, które mają spełniać ważne zadanie przeciwdziałania zakażeniom. Wyznawcy alkoholu są znacznie mniej odporni szczególnie przeciwko tyfusowi. Czerwone ciałka krwi u zupełnie zdrowego człowieka wykazują po wypiciu szampana pokaźnie zmniejszoną odporność. Również nie są dobrym materjałem do szczepionek przeciw cholerze, wściekliźnie i innym chorobom.

Funkcje serca i krążenia krwi są niemniej upośledzone i zakłócone w swym normalnym przebiegu. Wzmożona ilość uderzeń serca obniża ciśnienie krwi. Duże dawki alkoholu mogą wywołać porażenie ośrodków nerwowych zawiadujących naczyniami krwionośnemi, a w następstwie porażenie serca.

Alkohol, jako środek leczniczy, stracił również autorytet. Lekarze nie szafują już nim dziś tak jak dawniej, ponieważ zbadali jego oszałamiające i trujące działanie, i zastępują go innemi środkami, mniej groźnemi w skutkach. Alkohol stosuje się obecnie rzadko i tylko jako pokarm cieplny, lub jako środek pobudzający chwilowo pracę serca, działający szybciej od trudno strawnych pokarmów np. w okresie gorączki. Ale często cukier i woda oddają takie same, a nawet lepsze usługi.

Udowodniono również, że piwo nie posiada przypisywanych mu dawniej witamin, wobec czego odpada jego zachwalana odżywczość i polecanie go matkom w okresie karmienia dzieci.

Wśród nielicznych chorób, w okresie których może alkohol być środkiem leczniczym, wymienić należy cukrzycę i zatrucie jadami wężowemi. Musimy jednak zrozumieć, że alkohol jako lek, a alkohol jako napój nałogowy, to chyba zasadnicza różnica. Zażywamy przecież w okresach chorobowych różne trucizny w dawkach minimalnych przepisanych przez lekarzy, ale fakt ten nie może przemawiać za ich nieszkodliwością i za stosowaniem w życiu codziennem.

Wino, podawane rekonwalescentom, samo nie posiada żadnych wartości odżywczych, natomiast działa rozgrzewająco i pobudza apetyt, czyli spełnia rolę opału w organizmie.

(C. d. n.) EFEB

PLOTECZKI O MODZIE



Nietylko sporty zimowe lecz i wyjazdy w zimie w góry wymagają odpowiednich kostjumów i rozmaitego rodzaju ciepłych uzupełnień. Za granicą przyjął się zwyczaj, że nawet te panie, które nie jeżdżą na nartach, biorą ze sobą narciarski kostjum, jako najwygodniejszy i najlepiej zabezpieczający przed mrozem i wichrem podczas wycieczek lub przypatrywania się zawodom sportowym.

Wytworny kostjum narciarski — powinien być ciemny; za to tem piękniej odbijają się wesołe barwy szczegółów jak szal, czapka, rękawice, bluzka. Kolor czarny już nie obowiązuje tak surowo, jak doniedawna; modny jest również ciemno-brunatny i ciemno-zielony.

Materjał — wybieramy ciepły a zarazem nieprzemakalny. Najwięcej jest w użyciu gabardyna, następnie whipcord i wełniany aksamit côtelé.

Oprócz klasycznego narciarskiego kostjumu — ukazało się kilka odmian modeli, które też opiszemy. Spodnie norweskie, jako najcelowsze i zapewniające swobodę ruchom nóg, zatrzymane zostały przy wszystkich modelach. Muszą być odpowiednio szerokie i opadać na buciki. Dół spodni, wchodzących w obuwie, powinien być odpowiednio zwężony, tak, ażeby bucik można wygodnie zasznurować. Obuwie należy zabezpieczyć przed przedostaniem się śniegu do wewnątrz; są na to dwa sposoby: wywinięcie wełnianych skarpetek na brzeg obuwia, albo opasanie brzegów trykotową barwną taśmą i związanie jej po bokach zewnętrznych. Ten drugi sposób jest pewniejszy.

Kieszenie spodni — bez zapięcia lub tylko na jeden guzik nie są dla uprawiających sporty wskazane. Przy gwałtownych ruchach lub upadkach zawartość ich łatwo się wysuwa, a ponieważ torebka jest tu szczegółem wyklętym, więc musimy przeznaczać kieszenie do przechowania różnych podręcznych drobiazgów. Zapięcie ich zatem powinno być pewne i szczelne, co spełnia jedynie znany od kilku lat zameczek éclair.

Spodnie i żakiety — zaopatrujemy podszewką, jaśniejszą od materjału kostjumu.

Żakiety — od czasu powrotu normalnej linji stanu, podległy rozmaitym innowacjom. Mamy więc zbluzowane i lekko wyrzucone nad paskiem, inne obcisłe w piersiach i napoły przylegające jak tailleur, to znów sięgające tylko do pasa, zupełnie przylegające, z szerokiemi wyłogami, robiące wrażenie kamizelek z rękawami. Zwracam uwagę, że są to modele korzystne wyłącznie dla bardzo szczupłych pań; inne muszą pozostać przy linji prostej klasycznego żakieta. Jedna cecha musi je wszystkie łączyć: łatwość zdjęcia, gdyż z doświadczenia wiemy, jak szybko i silnie rozgrzewa fizyczny wysiłek. Ale co zrobić ze zdjętym żakietem, by rękom nie zawadzał? Zaopatrzyć go zawczasu w szeleczki i przewiesić na plecach.

Sweater pod kostjum narciarski — nie powinien mieć stojącego kołnierza właśnie dlatego, że grzeje bardzo. Lepiej mieć szal trykotowy lub z grubej wełny, dobrany do gatunku sweatera i zharmonizowany z całością. Sweater jednolity jest odpowiedniejszy, ze względu na barwną czapkę, szal, oraz dyskretne bordiury rękawic i skarpetek. Od umiejętnego doboru i rozmieszczenia kolorów zależy szyk kostjumu. Kolory tegoroczne są żywe.

Klasyczna jedwabna bluzka koszulkowa — jest nietylko wdzięcznem, ale i niezbędnem uzupełnieniem kostjumu. Po zdjęciu żakieta i sweatera — co w dobrze ogrzanem schronisku, przy herbacie lub tańcu staje się koniecznością — milutko wygląda jasna bluzeczka.

Obuwie — musi być nieco większe niż zwykle, ze względu na grube wełniane skarpetki, pod któremi często są cieniutkie, zwłaszcza gdy skóra źle znosi te pierwsze.

Rękawiczki — również grube, wełniane, zachodzące wysoko na mankiet żakieta, pod niemi krótsze, z cienkiej wełny, ściągnięte w kostce gumką umieszczoną wewnątrz, po wierzchu z patką zapinaną na guzik.

Czapeczki z trykotu, z materjału, z futra — zaczynają detronizować beret baskijski, który opatrzył się już nieco. Na dłuższe wycieczki odpowiedniejsza jest czapeczka zakrywająca dobrze uszy i chroniąca szyję.

Bielizna sportowa — wykonana jest z cieniutkiej wełny angora, tkanej z jedwabiem. Prosta w kroju, bez żadnych ozdób.

Jadąc na sezon zimowy w góry, trzeba pamiętać o tem, że jeden sweater lub jedna bluzka nie wystarczy, że rękawice, szale, czapki, sweatery muszą harmonizować, że poza życiem sportowem są także inne potrzeby w garderobie. Nie cały czas spędzamy na nartach lub innych sportach; chodzimy do kawiarń, restauracyj, na dancingi lub na bridża. Potrzebne są więc kostjumy lub komplety wełniane, suknie popołudniowe i wieczorowe, odpowiednie obuwie i reszta szczegółów. Z okryć najodpowiedniejsze jest futro, które można zarzucić tak dobrze na kostjum sportowy, jak i na suknię wieczorową. Zatem — ani strojne futro, ani płaszcz z materjału wełnianego nie odpowiadają obu celom.

CAILLER-SOBAŃSKA

MODELE MÓD

SUKNIE BALOWE Z KRAJOWYCH MATERJAŁÓW

NIE WOLNO NAM ZAPOMINAĆ O OSZCZĘDNOŚCI W OKRESIE KARNAWAŁOWYM



1 Okrycie balowe z aksamitu panne, obramowane futrem dookoła.
2 Biała toaleta z aksamitu. Stanik naszyty opalizującemi perełkami; na spódniczce wolant bogaty w kloszowe fałdy.
3 Toaleta wraz z pelerynką z koronki w kolorze srebrzysto-popielatym. U wycięcia dookoła stanika plisa z żorżety stonowanej.
4 Toaleta z dwóch materjałów. Góra jedwabna naszyta perełkami, z plisą tiulową u wycięcia zprzodu i wtyle. Suto marszczona falbana z tiulu z bukietem róż na przodzie.

SUKNIE WIECZOROWE Z KRAJOWYCH MATERJAŁÓW



5 Suknia z blado-zielonej krepy jedwabnej, z kloszową baskinką obszytą bronzowem futrem.

6 Suknia z białej żorżety, ozdobiona misternie zakładeczkami. Naszyjnik i pasek w kolorze turkusowym.

7 Suknia z lśniącego jedwabiu czarnego; żakiecik z lamy w kolorze perłowym, suto marszczony i przybrany futrem.

8 Suknia z tafty blado-różowej, wykończona kloszowemi wolantami u wycięcia i poniżej bioder.

SUKNIE WIECZOROWE Z KRAJOWYCH MATERJAŁÓW DLA MŁODYCH DZIEWCZĄT



9 Suknia z blado-niebieskiej żorżety, przybrana szafirowemi aksamitkami.

10 Biała sukienka z crêpe de Chine, lekko zbluzowana, w biodrach obcisła, zakończona kloszową, przymarszczoną falbaną. U wycięcia dwa gładkie wolanty i bukiecik białych róż.

11 Sukienka z jedwabnego muślinu lila z paskiem fiołkowym, ozdobiona zakładeczkami. Brzeg rękawków i dół bardzo szerokiej spódniczki wykończony riuszkami.

SUKNIE POPOŁUDNIOWE Z KRAJOWYCH MATERJAŁÓW



12 Suknia z granatowej wełnianej żorżety. Stanik wykończony oryginalnie falbanką. Spódniczka z przymarszczonemi kloszami.

13 Czarna suknia z krepy marocain, lekko zbluzowana, od bioder skloszowana. Zakładeczki na okrągłym kołnierzu i na mankietach.

14 Czarna suknia z crêpe satin z białym przodzikiem i pliskami przy rękawach. Wstawione części spódniczki wielokrotnie przymarszczone.

15 Suknia z krepy beige w odcieniu popielatawym; przybranie czarno-białe. Klosze na spódniczce zacinane.

ROBOTY RĘCZNE

ZE SKARBCA LUDOWEGO ZDOBNICTWA

WSCHODNIA Małopolska słynie z oryginalnej wytwórczości ludowej, w której wyraża się niewyczerpana w pomysłach fantazja, niezwykle wyrobiony smak i osobliwa zręczność techniczna artystów - amatorów z pod wiejskiej strzechy. By twory te poznać w całem ich istotnem, nieskażonem pięknie, należy dotrzeć do samego ich źródła — szukać nie miejskiej, naśladowniczej tandety, ale wyrobów, które powstały z ręki ludu i stworzone zostały na istotny i wyłączny jego użytek jako dzieła sztuki zdobniczej, strojącej każdy niemal sprzęt, każdą część odzieży.

Niezbyt to łatwe zadanie. Nie wszystkie bowiem okolice posiadają w równym stopniu rozwiniętą wytwórczość ludową, a wyławianie jej pereł jest tem bardziej utrudnione, że wieśniacy zazwyczaj nie doceniają wartości arcydzieł, jakie posiadają, a kult zdobnictwa zanika coraz bardziej wraz z szerzeniem się na wsi zewnętrznej cywilizacji i upadkiem ludowego stroju.

Jednym z najbogatszych działów sztuki ludu Małopolski wschodniej jest hafciarstwo. Koszule wyszywane i haftowane wzdłuż i wszerz na kołnierzach, rękawach, ramionach, pazuchach rozmaitemi ściegami w najbardziej pomysłowe i skomplikowane wzory, stanowią zadziwiające świadectwa tradycji, fantazji kompozycyjnej i pracowitości rąk wieśniaczek. Hafty te, których motywy opierają się na formach geometrycznych, wykazują zdumiewające podobieństwo do wzorów wschodnich dywanów. Występują w nich bowiem istotnie wpływy tureckie i tatarskie, zrozumiałe i usprawiedliwione wobec szeregu najazdów, jakie przez szereg wieków trapiły ziemie polskie i to przedewszystkiem wschodnie ich kresy.

Niesłychanie ciekawa wystawa, otwarta w grudniu w Miejskiem Muzeum Przemysłowem we Lwowie, pozwala nam podziwiać te nieprzebrane bogactwa, zgromadzone dzięki godnej podziwu i uznania pracy p. Teodory Modzelewskiej z Koszyłowiec w powiecie zaleszczyckim, która włożyła niemało umiejętności i energji w wyszukiwanie tych skarbów po chatach wieśniaczych. Nie jest to wystawa na podobieństwo owych zbiorów eksponatów, jakie przygotowują specjalnie na pokaz wytwórcy; jest to raczej muzealna kolekcja osobliwych okazów, wyszukanych z trudem, przeważnie starych i cokolwiek zużytych, rzadko błyszczących nowością, co jednakże tem więcej przypomina, że wyrwane zostały wprost z życia. Liczba ich niesłychana, a rozmaitość deseni i sposobów wykonania wprost nieprzebrana. Dość powiedzieć, że wystawa zajmuje trzy sale, gęsto okazami temi wypełnione.



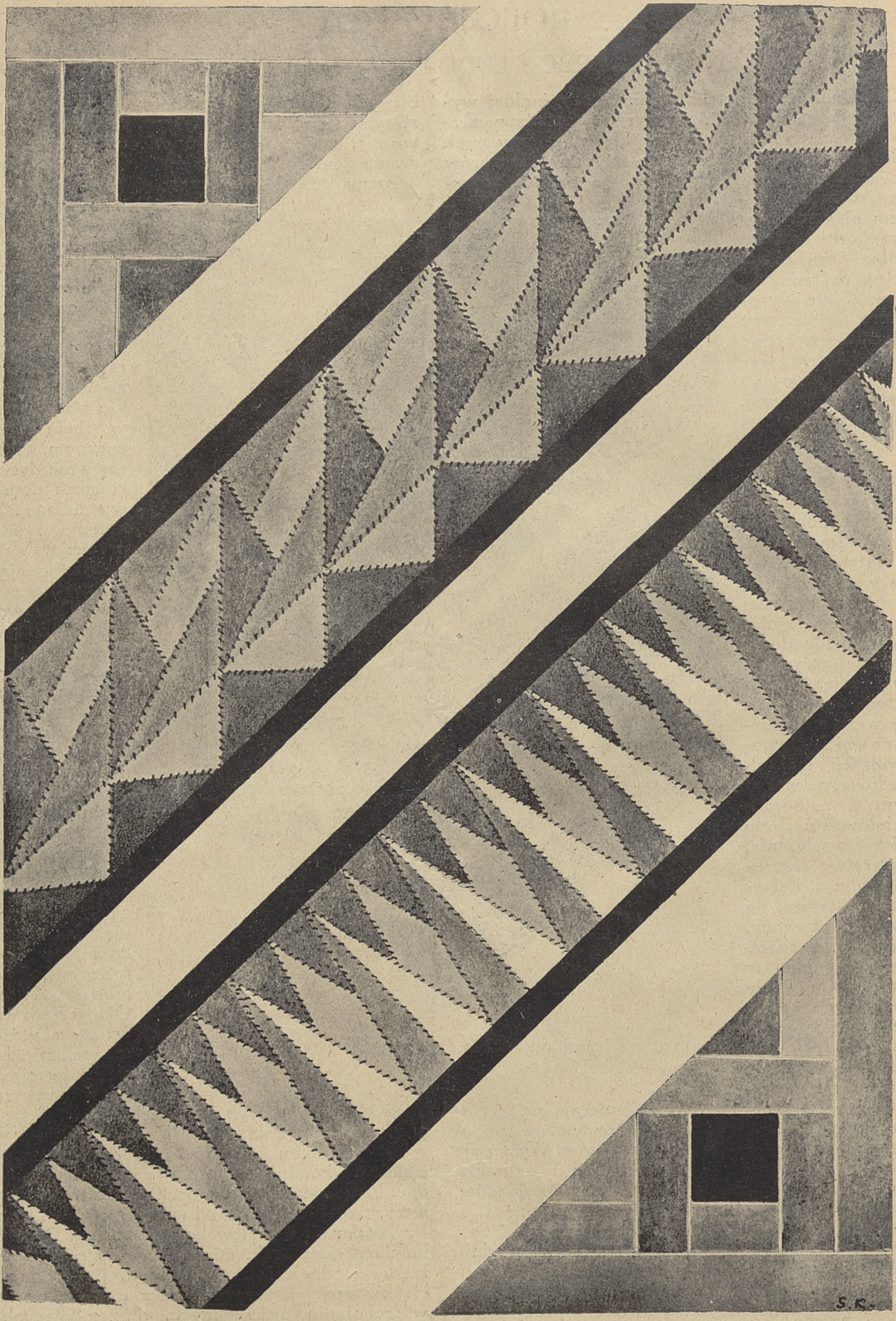
SERWETKI WEDŁUG ORYGINALNYCH WZORÓW

Mile pociąga oko zwiedzającego niezwykły smak w doborze kolorów, które stale powtarzają się w tych samych kombinacjach. Wszystkie hafty utrzymane są w tonie czerwonym i czarnym, czasem wplata się w nie dyskretnie nieznaczna domieszka barwy zielonej. Ściegi, wykonane z zadziwiającą precyzją, są drobniusieńkie i mają specjalne, ludowi tylko znane nazwy. Niezawodnie sposoby wykonywania tych zawiłych robót przetrwały długie wieki, przekazywane wiejskim hafciarkom z matki na córkę. Precyzyjne hafty zdobią obficie nietylko kobiece koszule, ale i męskie. Obok wyszywanek i haftów na płótnie widzimy wyroby tkane w przeróżne wzory. Należą do nich krajki czyli szarfy t. zw. „peremytki"; są to przepaski na głowę, w które stroją się kobiety wyłącznie na uroczystości rodzinne, albo do Komunji św. Okazy zebrane zostały w powiatach: zaleszczyckim, buczackim, czortkowskim, horodeńskim i borszczowskim gdyż głównie w tych okolicach rozwinął się domowy przemysł hafciarski.

Tylko jedną z sal wystawowych zajmują wyroby, specjalnie wykonane na wystawę i przeznaczone na sprzedaż. Znajdujemy tu poduszki, torebki damskie i serwety, ozdobione haftami według oryginalnych wzorów. P. Teodora Modzelewska, zamawiając je u wiejskich hafciarek-amatorek, miała na myśli cel dwojaki: stworzenie źródła zarobku dla ludu, przeżywającego dziś ciężki czas kryzysu gospodarczego, oraz rozpowszechnienie przepięknych, a zanikających niestety wzorów.

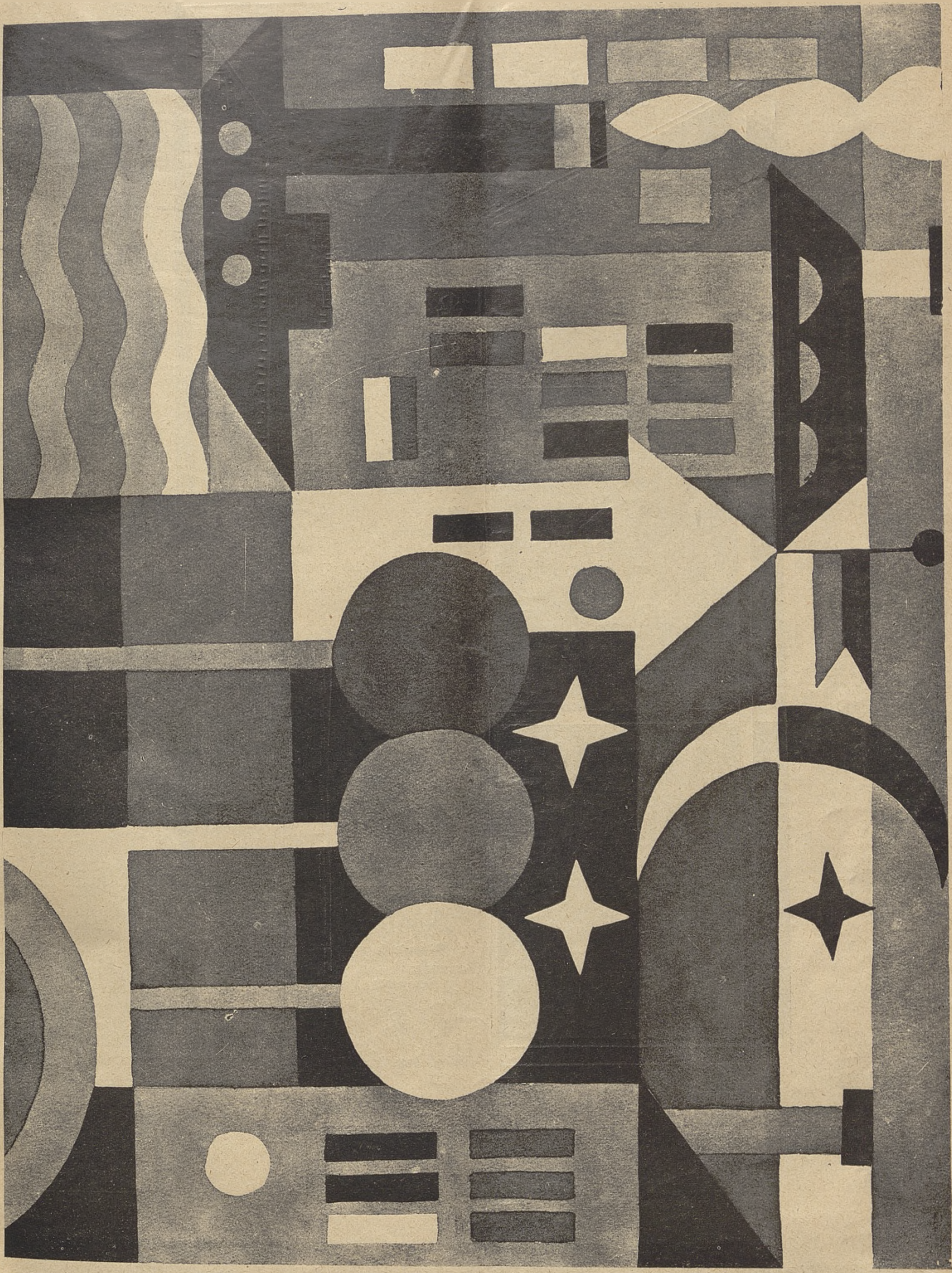
Może fakt udziału w wystawie i możność sprzedaży cennych robót otworzy wieśniaczkom oczy na zapoznaną wartość zdobnictwa ludowego i zachęci je do pielęgnowania tej sztuki, nie zaś dobrowolnego zatracania posiadanych skarbów.

M. G.-H.



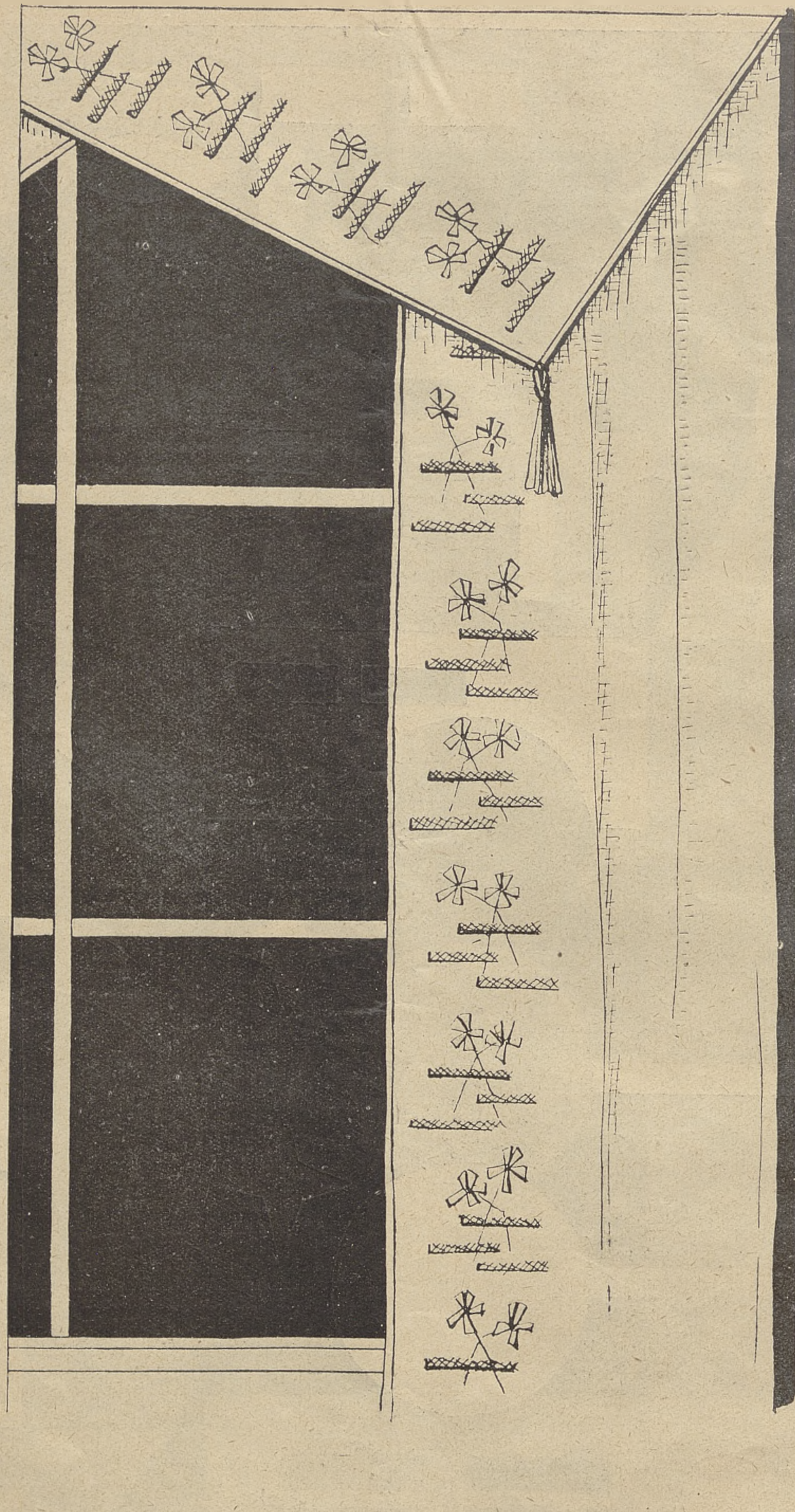
Rys. 1. — PRZYBRANIE SUKIEN APLIKACJĄ. — Kolory na pasie pierwszym: pomarańczowy, ugier jasny (słoma), ugier ciemny, lekka sepja (kawowy) i ciemna sepja; drugi pas: ciemno-zielony, ciemno-niebieski i dwa odcienie szarego. Można zresztą kombinować kolory dowolnie, zależnie od materjału sukni.

Proj. prof. St. Kacprowski



Rys. 2. — MAKATA APLIKOWANA filcem czarnym, białym i popielatym w dwu odcieniach.

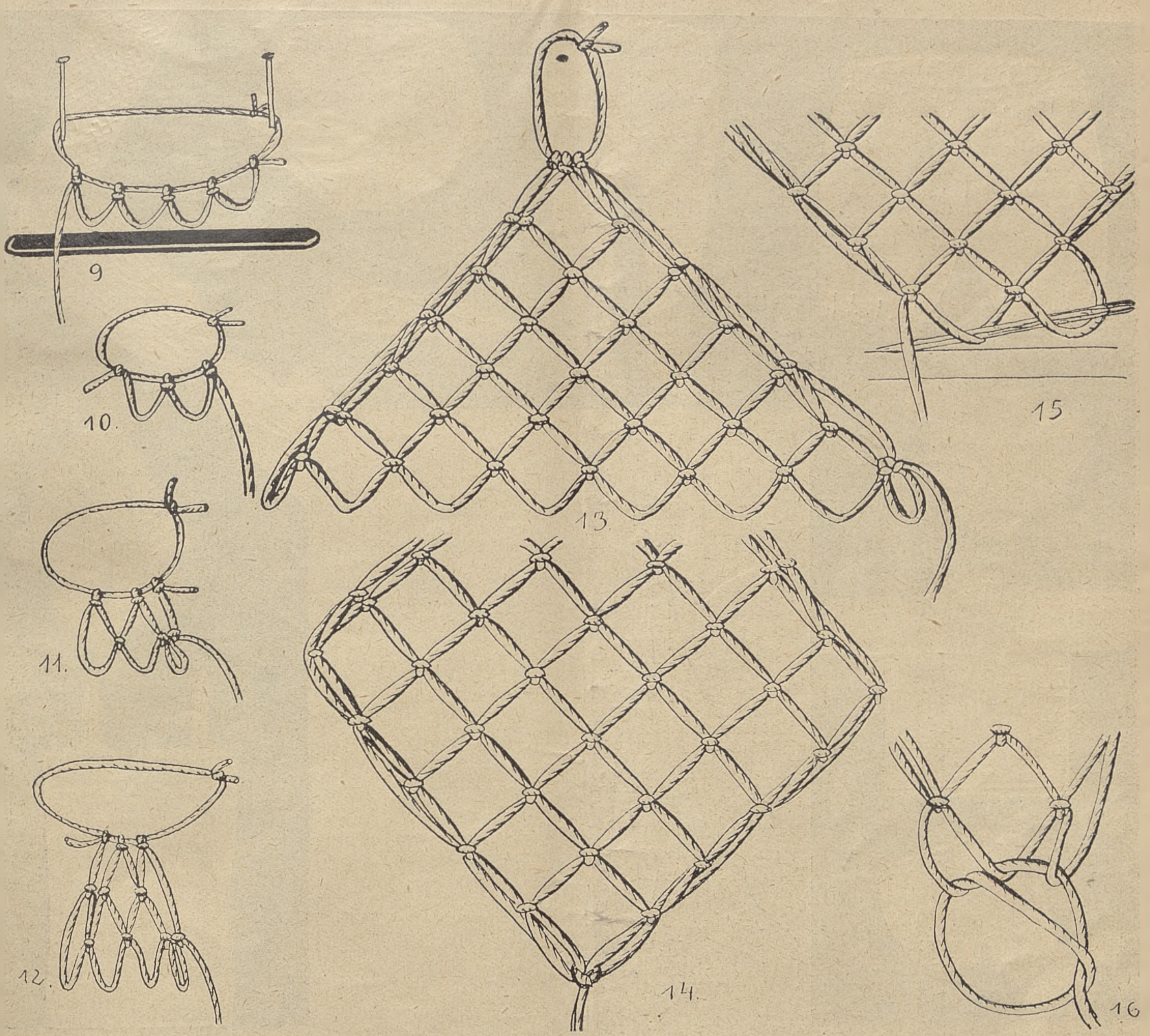
Proj. Ida Hölzlowa



Rys. 3. — FIRANKA OZDOBIONA ŁATWYM HAFTEM. Kolory jasno-zielony, żółty, terakota na poprzeczne paski. Kwiaty w jednym z tych kolorów; łodygi zielone. Ścieg „Janina" na paseczki, gałązkowy na kwiaty. Lamowanie w kolorze kwiatów; kutasy ze wszystkich trzech kolorów. Nici DMC.

Proj. prof. St. Kacprowski

KURS ROBÓT SIATKOWYCH



Na rys. 9 pokazany jest początek siatki po odwróceniu roboty i przed rozpoczęciem drugiego rzędu. Do każdego oczka robi się po 1 węzełku, tak, że ilość oczek pozostanie zawsze ta sama.

Nieco więcej skomplikowana jest robota kwadratów i prostokątów. Zaczyna się 3 węzełkami czyli 2 oczkami, rys. 10. W drugim rzędzie robi się 1 węzełek do pierwszego oczka, do drugiego zaś 2 węzełki. Przez to powstaje jedno małe oczko, (rys. 11). Po odwróceniu roboty postępuje się tak samo, t. zn. robi się po 1 węzełku w każdem oczku poprzedniego rzędu, do ostatniego zaś robi się dwa węzełki. W ten sposób siatka powiększa się w każdym rzędzie o jedno oczko. Gdy się już osiągnie pożądaną ilość oczek kwadratu, np. rys. 13, należy zrobić 1 rząd bez dodawania i następnie zacząć odejmowanie w ten sposób, że robi się 1 węzełek do ostatnich dwu oczek poprzedniego rzędu, jak to przedstawia rys. 15. Na rysunku 13 i 14 widać dokładnie, jak powinny wyglądać brzegi siatki kwadratowej albo prostokątnej. Podczas gdy brzegi siatki ukośnej pozostają pojedyńcze, brzegi siatki kwadratowej i prostokątnej składają się z 2 i 3 nitek.

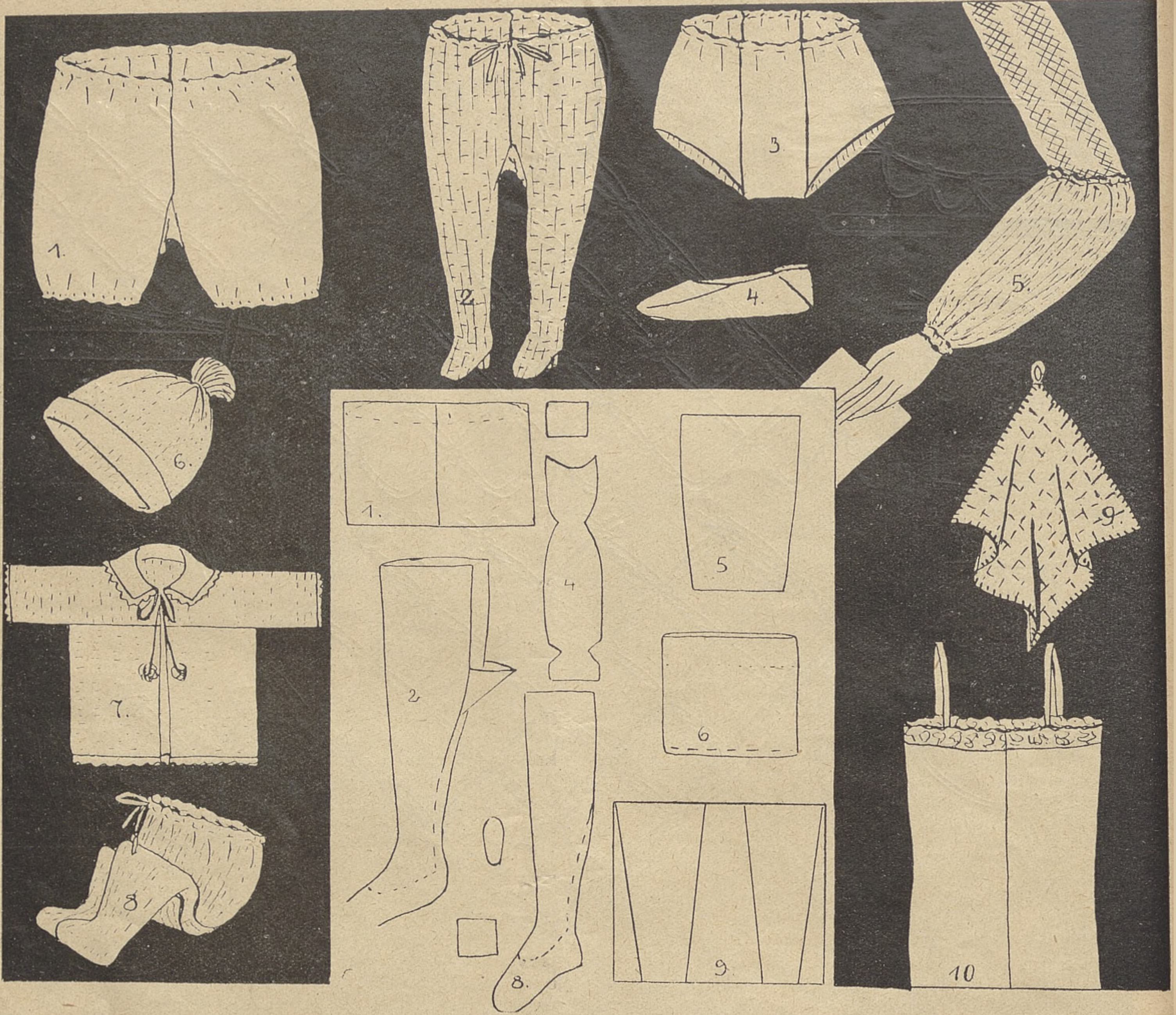
Zakończenie siatki kwadratowej przedstawia rys. 15 w chwili, kiedy iglica przechodzi przez 2 ostatnie oczka, rys. 16 zaś pokazuje węzełek przed ostatecznem ściągnięciem. Gotowy węzełek widać na rys. 14 u dołu.

Gdy kwadrat wzgl. prostokąt gotowy, związuje się pętelkę, która służyła jako podstawa początku i obcina końce niezbyt krótko, żeby się nie rozwiązały.

W następnej części kursu pokażemy, w jaki sposób wiąże się prostokąt i okrągłą siatkę oraz zaczniemy uczyć wyszywania na siatce.

(C. d. n.) Z. KULCZYCKA

KĄCIK PRAKTYCZNY



ZUŻYTKOWANIE STARYCH POŃCZOCH.

Z biegiem czasu zbierają się stosy pończoch, których nogawki są jeszcze niepodarte. Szkoda je wyrzucić, gdyż można z nich zrobić mnóstwo rzeczy, których część przedstawiliśmy w dzisiejszym kąciku.

Z 4 nogawek zrobi mamusia majteczki dla córeczki, zeszywając je bokami i górą i wstawiając klin kwadratowy w kroku, rys. 1.

Z ciepłych wełnianych pończoch powstaną śliczne rajtuzki dla małego dziecka, rys. 2. Na schematycznym rysunku pokazujemy w jaki sposób można wykroić odpowiednią formę i wstawić kwadracik w kroku. U dołu należy przyszyć odpowiednie strzemionka.

Podobnie szyje się majteczki do spania dla bobasa, który lubi się w nocy rozkopać, rys. 8. Tu wycina się nogaweczki ze stopami, do których można wstawić podeszwy. Górą ściąga się majteczki na tasiemkę. W kroku mogą być otwarte, albo opatrzone w klin kwadratowy.

Rys. 3 przedstawia majteczki ochronne z cieniutkich pończoch, których środkowa część może być podwójna. Wkłada się je pod reformy, które chce się szanować. Krój widoczny na rysunku, zupełnie nieskomplikowany. Równie praktyczne są stopki ochronne, które włożone na stopę szanują pończochy i zarazem chronią przed zimnem, rys. 4.

Panie pracujące w biurze chętnie zastąpią satynowe rękawki ochronne takiemiż z pończoch, które mogą w kolorze być stosowne do sukni. Sposób wykonania zupełnie łatwy.

Z nogawek można również uszyć doskonałą czapeczkę dla dziecka. Z wełnianej pończochy wystarczy jedna nogawka, zaś z jedwabnych pończoch lepiej zeszyć 2 nawywrót i zrobić czapeczkę podwójną, z wyłogiem, rys. 6.

Kaftaniczek dla niemowlęcia rys. 7, powstał z białych pończoch. Brzegi obszydełkowane kolorową bawełną z połyskiem, z której zrobiony też jest sznur z pomponikami. Krój łatwy kimonowy widoczny na rysunku.

Nawet staniczek można uzyskać z nogawek pończoch, zeszywając według potrzeby 4—6, zrównawszy je nieco.

Ze skarpetek robi się praktyczne ściereczki do chwytania garnków, zeszywając po kilka razem w 2 lub więcej warstwach. Brzeg dziergany kolorową bawełną, którą można również przepikować ściereczkę w kratę, tworzy sympatyczną ozdobę, rys. 9. W podobny sposób można zużytkować najcieńsze pończochy na ściereczki od kurzu, które znakomicie zbierają pył. Zeszyć nogawki według schematu 9, położyć kilka warstw jedną na drugą, przepikować na maszynie lub w rękach i obdziergać brzegi lub zalamować miękką lamówką.

Ogólne uwagi: brzegi należy zeszywać drobnym ale luźnym ściegiem, rozciągając trykot jaknajwięcej. Brzeg przeznaczony do ściągania wykończyć miękką lamówką. Można zyskać na długości odpruwając górny brzeg pończochy. Uskutecznia się to przez wyciągnięcie nitki w odpowiedniem miejscu.

Jeśli kolor pończoch jest nieodpowiedni, można je łatwo ufarbować farbą na zimno. Trykot bardzo dobrze przyjmuje farbę.

Należy jednak pamiętać, że różne odcienie nie wyjdą jednakowo, jak również różne gatunki. Jedwab i wełna łatwiej przyjmują farbę jak bawełna, przyczem wełnę trzeba gotować.

Przy sposobności podamy jeszcze inne sposoby zużytkowania pończoch.

Z. KULCZYCKA

SPRZĄTANIE RACJONALNE

OBECNE, zmodyfikowane metody pracy w gospodarstwie wypowiadają walkę osławionym „wielkim porządkom”, o których nie bez słuszności się mówi, że są równoznaczne z chaotycznym nieporządkiem. Chcąc uniknąć tych przykrych, chociaż nieraz koniecznych porządków jeneralnych, musimy rok cały dbać o planowość wykonywanych w domu czynności gospodarskich.

Nie wystarcza jednak często samo rozplanowanie zajęć, wymaga ono bowiem nieustannej kontroli i przestrzegania, aby wszystko, co się w domu dzieje, było w ścisłej, wzajemnej zależności.

Ten idealny stan rzeczy znacznie łatwiejszy jest do osiągnięcia dla tych pań domu, które cały swój czas poświęcać mogą sprawom swego gospodarstwa. Kobiety, które okoliczności zmuszają do pracy zarobkowej po za domem, dochodzą do przekonania, że jednak bodaj w dwuch sezonach: wiosennym i jesiennym muszą podjąć pracę przeprowadzenia w domu porządków gruntownych.

Te chwile są może jedynemi, jakie pozwalają gospodyni na należyte skontrolowanie braków swego gospodarstwa oraz jednoczesne uprzytomnienie sobie wszystkich drobiazgów, które są w jej posiadaniu. A czy tak rzadko się zdarza, że w gorączkowem tempie zajęć codziennych, gdy nam się przez przypadek nawinie jakaś rzecz w danej chwili zbędna, chowamy ją skrzętnie, aby nie zginęła! I to jest wystarczające, aby potem miesiące całe poszukiwać tak dobrze schowanego przedmiotu, który staje się nam potrzebny nieodzownie.

Oto są wykroczenia czynione zbyt często przeciwko racjonalnemu systemowi gospodarowania. Wykroczenia te są niezmiernie przykre w skutkach. Wprowadzają w domu nieład, chaos, a często i niepotrzebny wydatek, na przedmiot posiadany, a zaginiony w domu. Racjonalne sprzątnięcie całego mieszkania daje w rezultacie trzy zasadnicze korzyści: porządek, ład i urodę wnętrza.

Porządek polega na należytem doprowadzeniu wszystkiego do wzorowej czystości, ład zaś na celowem i logicznem rozmieszczeniu wszystkich przedmiotów w domu się znajdujących na właściwych dla nich miejscach. Już te dwa powyższe czynniki decydują niejednokrotnie o urodzie wnętrza, którą osiągamy poza tem przez umiejętne stonowanie barw, racjonalne oświetlenie, artystyczny dobór drobiazgów nierzadko „domowym przemysłem” wykonanych.

Dom swój trzeba kochać, gdy się chce, aby on był piękny! A wtedy i sprzątanie nie staje się czynnością przerażającą. Sprzątanie można podzielić na szereg różnych czynności, z których każda zachowuje swój odrębny charakter oraz przeznaczenie. A więc: odkurzanie, czyszczenie i zmywanie. Odkurzanie polega na usuwaniu kurzu z powierzchni, zapomocą ścierania oraz z wewnątrz różnych przedmiotów zapomocą trzepania. Są to funkcje dokonywane na sucho, bez współudziału jakichkolwiekbądź środków pomocniczych, oprócz ściereczek, trzepaczek no i najwłaściwszych dla tego celu odkurzaczy elektrycznych!

Dziś, gdy znakomicie oceniamy niebezpieczeństwo kurzu, wiemy, iż sprzątanie racjonalne nie może polegać na przenoszeniu go z przedmiotu na przedmiot przez rozpylanie w powietrzu. Dlatego też używanie gołych szczotek, suchych ścierek i omiataczek z piór, przy sprzątaniu jest nie do pomyślenia. Przy zamiataniu, aby pyłu nie wznosić okręcamy szczotkę ścierką bawełnianą nasiąkniętą roztworem terpentyny pół na pół z benzyną w której jest rozpuszczona odrobina wosku pszczelnego. Ścierka powinna być zlekka zwilżona z dnia na dzień, zarówno do podłogi, jak i do ścierania kurzu z mebli.

Gdy mowa o czyszczeniu, mimowoli przychodzą nam na myśl tajemnice chemji, wypowiadającej walkę zniszczeniu powstającemu dzięki działaniu czasu, wpływów atmosferycznych, temperatury i t. p. Czyścimy przedewszystkiem metale, bronzy, potem marmury, alabastry, lustra, jeśli trzeba stare ramy od obrazów, a niekiedy przy wielkiej znajomości rzeczy i same obrazy. Robimy to jednak zazwyczaj z dużym brakiem wprawy i jeszcze większem ryzykiem. Najłatwiejszem bodaj z pośród wszystkich czynności domowych jest zmywanie, które stosujemy tam, gdzie brud nie da się usunąć na sucho. Wtedy przedmioty o konstrukcji prostej szorujemy posiłkując się wodą, mydłem, szczotką, a niekiedy i proszkami wybielającemi.

Po należytem rozgraniczeniu poszczególnych czynności, wskazane jest ścisłe określenie ich kolejności. Jeśli pragniemy uporządkować całe mieszkanie systematycznie i wzorowo — to zaczynajmy od szaf, szuflad, kredensów, kufrów, wnętrz otoman i t. d. To pozwoli nam na odciążenie mieszkania od wielu zbędnych przedmiotów, które przenoszone z miejsca na miejsce niepotrzebnie zawalają kąty. Jednocześnie dobrze jest robić wykaz na kartce rzeczy znajdujących się w danym sprzęcie, a kartkę umieszczać na drzwiach szafy lub wieka kufra od strony wewnętrznej. Oswobadza to pamięć od wysiłku i zabezpiecza od ciągłych poszukiwań.

Czynnikiem niezmiernie ważnym przy tych porządkach jest klasyfikacja poszczególnych rzeczy. To znaczy, że powinny być one posegregowane na grupy, według swej użyteczności. Nie należy więc np. bielizny mieszać z odzieżą, obuwie z kapeluszami, rękawiczek z pończochami, czy przyborami toaletowemi lub czemś podobnem.

Gdy ład wewnętrzny mamy w domu zaprowadzony, przystępujemy do porządków zewnętrznych. Najlepiej rozpocząć od poprania wszystkich rzeczy wymagających odświeżenia, jak serwetki, firanki, poduszki ozdobne, narzuty i inne. Ten system bowiem prowadzi nas najkrótszą drogą do jaknajszybszego uporządkowania mieszkania. W sposobach przeprowadzania porządków właściwych ludzie hołdują dwom systemom: 1) system prac grupowych t. zn. omiatanie wszystkich ścian, mycie wszystkich okien, wszystkich drzwi, zaciąganie wszystkich posadzek i t. d., lub też 2) system pokojowy — kiedy robi się te wszystkie czynności kolejno w każdym pokoju poszczególnie.

Z mego punktu widzenia system drugi jest praktyczniejszy, ponieważ pozostawia domownikom, nawet w czasie najgorszych prac, jakiś kąt nienaruszony do ich dyspozycji, gdy tymczasem system grupowy rujnuje na pewien okres czasu całe mieszkanie.

Porządkowanie kolejno poszczególnych pokojów ma jeszcze tę dodatnią stronę, że pozwala na tem większą dokładność w drobiazgach. Nie należy, tylko, przez bagatelizowanie sobie nieprzetartego lustra, lub niedoczyszczonej klamki, odkładać tych czynności na potem, bo zpewnością ulecą z pamięci, a do pracy wkradnie się, największe nieraz wysiłki unicestwiająca — niedokładność.

MARJA ANKIEWICZOWA

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

PRZYBRANIE POTRAW. Trudne jest piękne podanie ryb. Polecaliśmy już na tem miejscu gotować ryby na ruszcie specjalnie na ten cel sporządzonym. Unika się tym sposobem trudności przy wyjmowaniu ryb z brytwanny, przyczem często się rozpadnie.
Duże ryby podaje się w całości, umieszczone na półmisku grzbietem do góry, a nie leżące na boku. Do pyszczka należy włożyć bukiecik pietruszki, albo plasterek cytryny. Grzbiet przybiera się w poprzeczne paski. Zimną rybę można ozdobić auspikiem, majonezem lub też jajami, chrzanem i plasterkami cytryny. Ryby na gorąco można przybrać w ukośne paski z białka, żółtka i pietruszki, siekanych oddzielnie i ułożonych naprzemian w odstępach wzdłuż grzbietu ryby. Wokoło można umieścić kędzierzawą pietruszkę albo jarmuż, plasterki cytryny, wykrawane i zrumienione kartofelki.

Mięso gotowane zdobi się zazwyczaj ostremi dodatkami jak pikle, marynowane pomidory, grzyby, rydze, utarty chrzan, korniszony lub kiszone ogórki, pokrajane w plasterki, lub jarzynami lekko duszonemi na maśle, przyczem wycina się marchewkę w ozdobne plasterki.
Pietruszkę do przybierania, kędzierzawą czyli silnie fryzowaną, można przed użyciem wypiec na maśle. W tym celu odcina się ją z grubych łodyg, spłókuje i osusza po osączeniu. Przed podaniem należy rzucić ją na gorące masło albo na smalec i wypiec szybko, tak, żeby nie straciła pięknej zielonej barwy. Gdy stwardnieje wyjąć łyżką druszlakową i posypać miałką solą.
Pieczeń pokrajaną w plasterki najlepiej przybrać wieńcem z kartofelek zrumienionych na tłuszczu albo w sosie, pasztecikami, miseczkami z ciasta z różnemi gatunkami jarzyn, krokietami z kartofli, jarzyn, ryżu albo makaronu, kasztanami, pulpetami i innemi znanemi dodatkami. Na samym brzegu pietruszka albo jarmuż ułożony w efektowne ramy.

Drób wygląda ponętnie otoczony pulpecikami z mięsa albo wątróbki, szlachetnemi grzybami, różyczkami kalafjorów i zielonemi sałatkami; dzikie ptactwo natomiast wymaga ostrzejszych dodatków jak puré z pomidorów, z głogu, galaretka porzeczkowa, dereń, gogodze albo brusznice oraz marynowane grzyby i jarzyny.
Te same przybrania można również zastosować do innej dziczyzny. Można tu dodać jeszcze czerwoną kapustę rozmaicie przyrządzoną, a niejeden nie pogardzi też białą kapustą duszoną albo w formie sałatki. C. d. n.
Sezon herbatek proszonych ożywi znowu zainteresowanie HERBATNIKAMI, których serja zeszłoroczna podana na tem miejscu wywołała szczere zadowolenie naszych Czytelniczek. Uzupełnimy więc zbiór dalszemi wypróbowanemi przepisami niedrogiemi i łatwemi do wykonania.
PASZTECIKI Z FIGAMI. Utrzeć 3 łyżki masła, dodać stopniowo 25 dkg mąki i szczyptę soli oraz tyle śmietanki czy też śmietany, żeby powstało dość twarde ciasto. Wywałkować i wysłać niem małe foremki. Z rozgotowanych i odparowanych jabłek, posiekanych fig oraz orzechów, przygotować nadziankę, do której można dodać rodzynek. Napełnić tą masą foremki i wypiec za 15 minut w piecu lub rurze dość gorącej. Jako niezbyt słodkie znajdują łaskę u panów.

KORZENNE PÓŁKSIĘŻYCE. Zamiesić ciasto z 10 dkg mąki, 8 dkg masła, 6 dkg mączki cukrowej, 6 dkg migdałów utartych z łupką, ½ łyżeczki cynamonu i tyleż goździków, wytaczać cieniutko jak monetę 10 groszową, wyciąć małe półksiężyce. Upiec na ciemny rumiany kolor i gorące posypać cukrem utłuczonym z wanilją.
PALUSZKI WANILJOWE. Ponieważ ciasto powinno spoczywać przez 2 godziny, należy je zawczasu przygotować. Utrzeć 10 dkg masła z 5 dkg mączki cukrowej, dodać szczyptę soli i 12½ dkg mąki. Nakryć ciasto, po dwu godzinach formować paluszki i upiec na wysmarowanej blasze. Jeszcze gorące tarzać w cukrze utłuczonym z wanilją.
CAŁUSKI Z KREMEM. Utrzeć 3 żółtka z 6 dkg cukru, dodać 5 dkg mąki i pianę z 3 białek. Masę upiec w małych foremkach. Gdy ciasteczka wystygną, przekroić, wydrążyć nieco i nadziać kremem, następnie powlec polewą z lukru, do którego można dodać jakiś smak albo czekoladę. Na krem ubić nad parą 3 żółtka z 10 dkg cukru i pół kwaterką mleka. Podzielić na trzy części, do jednej dodać esencji kawowej, do drugiej czekolady, do trzeciej rumu albo waniliji.
Ogólne wskazówki: nie używać proszku do pieczywa, potaszu albo sody; jaja zawsze utrzeć albo ubić z cukrem, najlepiej w mączce, tak samo masło; kruchym i pokrewnym ciastom dać spocząć 2 godziny; herbatniki przechowywać w szklanym słoju.

TOWAROZNAWSTWO

M a l i n y dojrzewają w znacznych ilościach w lasach i na zrębach. Odmiana leśna jest silnie aromatyczna, ale drobniejsza od hodowanej w ogrodach. Cenimy ją jednak wyżej od ogrodowej, jeśli idzie o wyrób soków i marmelad. Natomiast do smażenia w całości korzystniejsza malina ogrodowa, gdyż jest daleko większa i soczystsza, a pesteczki jej są stosunkowo mniejsze. Maliny dojrzewają w lipcu, a niektóre gatunki trwają nawet do września. Między leśnemi znajdują się odmiany, których pesteczki są również drobniejsze. Soczystość ich zależy od pogody, po deszczu są bardziej soczyste, posiadają jednak mniej aromatu jak w dni słoneczne. Rzadka odmiana biała jest mniej aromatyczna, japońska zaś żółtawa i duża ma nieco inny zapach i smak. Wreszcie istnieje jeszcze malina hodowana bez pesteczek.

Do smażenia należy kupować świeżo rwane w dni słoneczne i niezgniecione.

1179



C z a r n a j a g o d a, zwana w niektórych okolicach borówką albo czernicą, rośnie w lasach na niziutkich krzewach, które porastają całe zbocza lesiste albo wyścielają całe lasy. Dojrzewa z końcem lipca i trwa do września. Koloru niebieskawo-czarnego odznacza się woskowym nalotem. Smak kwaskowato-słodki orzeźwiający, czyni czernicę lubianym posiłkiem w stanie surowym. — Przyrządza się z nich różne konserwy i leguminy oraz używa do ciast. Posiada własności lecznicze, zwłaszcza w stanie suszonym. Jeśli lasy znajdują się blisko, można się z łatwością zaopatrzyć w świeże jagody. Natomiast w miastach oddalonych od lasów trudniej dostać towar niepognieciony. Najlepiej przesyła się czarne jagody w skrzynkach drewnianych albo w niezbyt dużych koszykach. Natomiast jagody sprzedawane z beczek, przewożonych często milami, są najczęściej silnie zgniecione. Wobec wątpliwej czystości sprzedawców nie można doradzać kupowania tych jagód, gdyż trudno je spłókać w stanie rozgniecionym.

Pokrewną jagodą, również często zwaną borówką jest b r u s z n i c a. Jest to jagoda podobna kształtem do czarnej jagody, ale posiadająca barwę szkarłatną i smak bardzo kwaśny przed przemarznięciem. Rośnie w lasach jak czernica. Podobne do nich, lecz mniejsze, twardsze i mniej soczyste są g o g o d z e, rosnące w górach nawet na znacznych wysokościach. Cenimy je podobnie jak brusznice dla ich orzeźwiającego smaku i pięknego koloru. Konserwy z tych jagód są bardzo trwałe. Po przemarznięciu jagody są słodkie i miękkie.

D e r e ń jest to podłużna jagoda barwy czerwonej, z podłużną pestką spoczywającą w soczystym miąższu, który dostarcza doskonałej kwaskowatej marmelady albo galaretki. Z dereniu przyrządza się też kompot i sok. Podobny do niego ale drobniejszy jest b e r b e r y s. Używa się go jak dereniu, do którego jest też podobny w smaku, kształcie i kolorze. Oba gatunki jagód są mało rozpowszechnione.

Doskonałej konfitury dostarcza g ł ó g. Po przemarznięciu miękanie i staje się słodszy, jednakowoż trudno wtedy usunąć zeń pesteczki i włoski. Z głogu wytwarza się też namiastkę kawy. Pesteczek nie należy wyrzucać, gdyż zapachem swoim przypominają wanilję i mają własności lecznicze. Owoce niedorozwinięte nie nadają się do użytku.

O ż y n y czyli j e ż y n y należą do tej samej rodziny co maliny i jak one posiadają drobne pesteczki, oddzielnie otoczone soczystym miąższem. Istnieją różne odmiany. Jedna odznacza się barwą ciemno-niebieską z pięknym nalotem woskowym, inne są błyszczące, koloru ciemnego czerwonego wina. Jedne i drugie rosną na gałęziach opatrzonych w kolce ale różniących się nieco. W stanie dojrzałym ożyny posiadają smak słodki, konfitura z nich jest smaczna, choć bez szczególnego aromatu.

J a r z ę b i n a służy głównie do wyrobu nalewek i wódek, choć używa się jej także do wyrobu soku i marmelady. Często fałszują nią gogodze albo brusznice, do których jest podobna. Można ją jednak poznać po miąższu, który jest wewnątrz żółtawo-czerwony, gdy miąższ brusznic jest purpurowy a gogodzów czasem raczej bladawy niż żółtawy.

Na tem wyczerpaliśmy opis owoców zaliczanych do jagód, dojrzewających w naszym klimacie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. MARJETA P. Z POZNANIA. — Urząd pocztowy zwrócił nam list wysłany do Pani z powodu braku dokładnego adresu. — Gdy go otrzymamy, wyślemy odpowiedź niezwłocznie.

P. HENRYK B. — Radzimy zwrócić się pod adresem: Dział Wysyłkowy Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, Lwów, Akademicka 2 a, z prośbą o przysłanie wymienionych w liście książek do przejrzenia. Otrzyma je Pan niezawodnie — jak każdy zresztą kto się z tem życzeniem do Księgarni Polskiej zwraca — a wówczas będzie Pan mógł zorjentować się, które będą najodpowiedniejsze.

P. EMEF. — Prace organizacyjne „Związku Pań Domu" dają doskonałe rezultaty. Oddziały Związku Pań Domu organizują się już w następujących miastach: w Krakowie, Poznaniu, Katowicach, Łodzi i w Sosnowcu. Narazie. Ale miejmy nadzieję, że każde najmniejsze miasto zrozumie potrzebę i wprost dobrodziejstwo istnienia takiej niezbędnej w obecnych czasach organizacji. Niech więc i Pani pomyśli o zorganizowaniu takiego Oddziału w swoim mieście.

MIMOZA. — Szkoda, że nie podała Pani imiennego adresu, gdyż odpowiedzi w druku nie mogą, z braku miejsca być tak szczegółowe, jak listowne. — 1. Adres, o który Pani pyta, podaliśmy w „Odpowiedziach redakcji" w numerze 24 „Świata Kobiecego" z 15 grudnia 1930, nie chcemy go powtarzać w tak krótkim odstępie czasu. — 2. Owszem, lekkie skinięcie głową obowiązuje w takich warunkach. Oczywiście, bez słów. — 3. Jaja surowe, przyprawione w opisany przez Panią sposób, nietylko nie tracą składników odżywczych, ale zyskują nowe. — 4. O diecie tuczącej były w „Świecie Kobiecym" tak częste wzmianki, że nie rozumiemy, dlaczego ich Pani nie zauważyła. Streszczamy je: potrawy mączne, dobrze słodzone, tłuste, mleko, nabiał. Odpoczynek po każdym posiłku; najlepiej w pozycji leżącej, z zarzuceniem pracy umysłowej a nawet lektury.

P. STEFAN K. — Po bliższe informacje należy zwrócić się pod adresem: Syndykat Emigracyjny, Warszawa, Marszałkowska 124. Syndykat ostrzegał już przed emigracją do Belgji, gdzie znalezienie pracy, wobec dalszego pogarszania się konjunktury w przemyśle belgijskim, jest nieprawdopodobne.

MARYLKA. — Połączenie żorżety z koronką będzie najodpowiedniejsze. Wzorów znajdzie Pani dosyć w naszem piśmie.

22—65. — Nie radzimy. Według ostatnich wieści z Paryża cocktaile wychodzą z mody, z powodu wielkiej szkodliwości dla zdrowia. Niech Pani pozostanie przy dawnej formie przyjęć.

DO CZYTELNICZEK!

Ubiegły rok jest dla „Świata Kobiecego" datą jubileuszową, zamyka bowiem okres dziesięcioletniego jego istnienia. W ciągu całego tego okresu staraliśmy się nieustannie o podniesienie wartości naszego czasopisma, o postawienie go na poziomie europejskim — i stwierdzić możemy bez przesady, że usiłowania te wydały pożądane owoce. Obecnie jest „Świat Kobiecy" zarówno pod względem treści, jak i formy, pismem mogącem zadowolić nawet najwybredniejsze wymagania.

Łamy jego zasilają pierwszorzędne talenty literackie, przyczem nie ograniczamy się jedynie do piór kobiecych, uważając, że w kwestjach artystycznych i wogóle w dziedzinie ducha nie istnieje podział twórców na płci.

Dział społeczny i sprawy kultury zajmują w „Świecie Kobiecym" należne im miejsce, mimo że będąc pismem o typie żurnalowym, musi on poświęcać wiele uwagi i staranności praktycznej stronie życia i kwestjom toaletowym. Obok omawiania aktualnych problemów społecznych, poświęcamy stale miejsce krytyce artystycznej, literackiej i teatralnej.

Specjalny kącik przeznaczamy w każdym numerze pisma na wskazówki higjeniczne i kosmetyczne, które cieszą się szczególnem uznaniem i zaufaniem Czytelniczek. Również nasze uwagi na temat obyczaju towarzyskiego znalazły w szerokich kołach wielkie zainteresowanie. Zwrócić też należy uwagę na stronę ilustracyjną pisma; każdy prawie artykuł ożywiają i uzupełniają bądź to artystyczne, oryginalne rysunki, bądź też doborowe zdjęcia fotograficzne, dział mód zaś ilustrowany jest bogato pięknemi, jedno- i wielobarwnemi modelami. Kącik praktyczny jest dla pań domu niewyczerpanem źródłem pożytecznych rad gospodarskich. Nie zapominamy też o potrzebach mężów naszych Czytelniczek i dajemy w dziale „Cośniecoś dla panów" wybór modeli mody męskiej, pamiętając, że zwyczaj towarzyski i konieczność staranności w ubraniu każą i mężczyznom dbać o wygląd zewnętrzny.

„Świat Kobiecy" stara się o utrzymanie stałego kontaktu ze swemi Abonentkami, zapomocą odpowiedzi redakcji, w których podaje wszelkie żądane informacje listownie lub w druku. W zakresie robót ręcznych znajdują amatorki igły wiele estetycznych wzorów. Uwzględniamy też szeroko dział kultury wnętrz, dostosowując nasze wskazówki do nowoczesnych wymogów i potrzeb naszego społeczeństwa. Pamiętając o zdrowem haśle samowystarczalności naszego państwa, zwracamy stale i systematycznie uwagę Czytelniczek na źródła krajowej produkcji. Przy sposobności przeprowadzonej ankiety na temat: co myślą Czytelniczki o „Świecie Kobiecym", otrzymaliśmy wiele wyrazów uznania. Obecnie prosimy o dalszą życzliwość, wyrażającą się zarówno stałą prenumeratą pisma, jak też zjednywaniem mu coraz większych kół abonentek przez polecanie go swym znajomym. Stała prenumerata pisma jest o wiele korzystniejsza nietylko ze względu na wygodę i możność utrzymania z pismem kontaktu dla obu stron tak sympatycznego, ale także z powodu prawa do premij w postaci wartościowych książek lub też „Almanachów Świata Kobiecego".

OD WYDAWNICTWA

Zwracamy uwagę na dołączony do numeru 1 „Świata Kobiecego z r. b. prospekt firmy „STYLPLATER" Zakopane i prosimy o przestudjowanie tego prospektu

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3

Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34

PREMJE

dla półrocznych Prenumeratorek „ŚWIATA KOBIECEGO" NA ROK 1931

Każda Prenumeratorka, która nadeśle zgóry półroczną prenumeratę t. j. zł 20, otrzyma bezpłatnie do wyboru jedną z następujących książek:

I. Almanach „Swiata Kobiecego"
II. „ „ „
III. „ „ „
IV. Almanach „Świata Kobiecego"
V. „ „ „
VI. „ „ „

SZELBURG EWA: Polne grusze (powieść)

PIĘĆDZIESIĄT PIEŚNI NA FORTEPIAN Z PODŁOŻONYM TEKSTEM

UŁOŻYŁ: EDMUND WALTER

ALARY J. „Cudzoziemiec" — BARTHELS Art. „Pod pantoflem", „Ideały", „Oj, ten Mazur" — BIZET G. „Habanera" — BRAGA („Śpiewka Neapolitańska"), „Canzonetta Napolitana" — CHOPIN Fr. „Zakochana", „Marzenie", Pierścień", „Życzenie", „Moja pieszczotka" — COOTE C. „Moja Królowa" — FILIPPI F. „Czemu" — FLOTOW „Marta" (Wyjątek z Finału), „Marta" (Już wiosna wróciła) — GASTALDON S. „Pieśń zakazana" — HALEVY „Żydówka" (Arja) — KOMOROWSKI J. „Kalina", „Nowa miłość" — KREBS C. „Do Niej" — LUBOMIRSKI K. „Nigdyż", MONIUSZKO St. „Dumka", „Krakowiak", „Dwie zorze", „Grajek", „Gdyby rannem słonkiem", „Kozak", „Krakowiaczek", „Kum i kuma", „Pieśń wieczorna", „Pieśń wojenna", „Pieśń z opery Halka", „Piosnka żołnierza", „Prząśniczka", „Sokoły", „Tułaczka", „Wędrowna Ptaszyna", „Złota rybka". — OFFENBACH „Opowieści Hoffmanna" — PALADILHE E. „Przy mandolinie" — RADWAN A. „Kruk" — REICHARDT Al. „O oczko me! O gwiazdko ma!" — SCHUBERT Fr. „Dziewczę i śmierć", „Serenada", „Wędrowiec", „Polna Różyczka" — SCHUMANN R. „Nie ronię łez" — WAGNER R. „Tannhäuser" — WALLACE W. „Maritana".

Na koszta przesyłki i opakowanie premji należy przekazać zł 1·50